

TYGODNIK
SPOŁECZNO - OŚWIATOWY ZNP

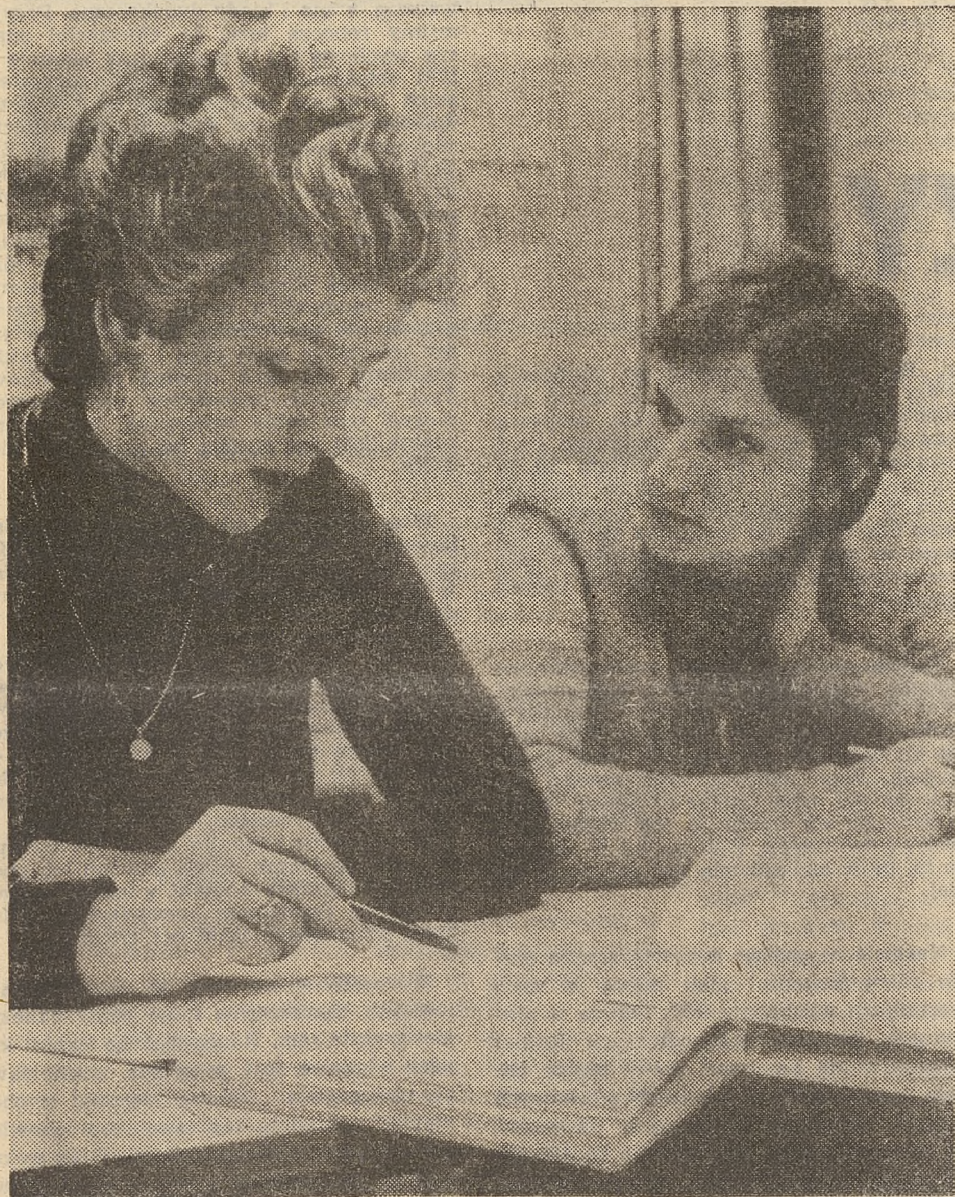
ROK LXVII • NR 1 • 1 I 1984 r.
CENA 10 ZŁ

GŁOS

NAUCZYCIELSKI

W NUMERZE:

- ZASIŁEK STATUTOWY ZNP
komu, kiedy, ile?
- SPRAWA WIARYGODNOŚCI
z obrad Plenum ZG ZNP
- NIKT NAS NIE WYRĘCZY
dylematy wychowawczo
- Z KULTURĄ NA CO DZIEŃ
reportaż z Nowego Tomysła



Fot. M. Suchecki

ZAPRASZAMY
DO DYSKUSJI



538/1984

DROGI

I BEZDROŻA

NAUCZYCIELSKIEJ

EDUKACJI

We wstępie do „Nauk filozoficznych współdziałających z pedagogiką” B. Suchodolski napisał, że „jednym z podstawowych warunków skutecznego nauczania jest dobre przygotowanie nauczycieli. Do tego zaś trzeba trzech rzeczy: ogólnej kultury intelektualnej, dobrej orientacji w zakresie dyscypliny stanowiącej przedmiot nauczania oraz znajomości metod dydaktycznych i zrozumienia, jakie są ich związki z metodami badań naukowych”¹⁾.

Tę prawdę znali nauczyciele, którzy w 1918 roku zebrali się na swoim sejmiku związkowym i nadali jej kształt postulatowi zobowiązującego do zapewnienia wszystkim uczącym możliwości zdobycia wyższego wykształcenia. Prawdę tę powtórzył ostatnio, w październiku 1983 roku, Kazimierz Piłat, prezes ZG Związku Nauczycielstwa Polskiego i uczestnik wskrzeszenia tego Związku²⁾.

10

WIOSKA DZIECIĘCA W BILGORAJU

CZY ZDA EGZAMIN?

No i mamy wioskę dziecięcą w Bilgoraju. 13 sierpnia 1983 roku wprowadziło się do niej dziewięć matek z trzydziestoma pięcioletnimi dziećmi. W tej chwili trwają intensywne poszukiwania jeszcze sześciu brakujących matek, bo tyle pozostało wolnych domków, i siedmiu ciot. Wkrótce Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Ośrodek Adopcyjno-Opiekunczy w Zamościu będą również łączyć już istniejące rodziny tak, aby liczba dzieci w nich wynosiła od sześciorga do dziewięciorga. Obecnie, w okresie adaptacji, bilgorajskie matki mają po troje—pięcioro dzieci. Jak dobrze pójdzie, wioska będzie miała komplet mieszkańców dopiero w 1985 roku: piętnaście matek, siedem ciot i od stu do stu dwudziestu dzieci. Ale trzeba też przyznać, że pośpiech w dobieraniu kobiet i dzieci nie jest wskazany i dobrze też czyni komisja kwalifikacyjna w Zamościu, że zanim zatwierdzi kandydatkę na matkę, najpierw „zje z nią beczkę soli”.

Czy zatem poród nowatorskiej w polskiej praktyce pedagogicznej placówki opiekuńczo-wychowawczej odbywa się już bez bólu? Niestety, nie! I bynajmniej nie chodzi tutaj o przesławne żółwie tempo prac budowlanych, lecz o fakt zgola paradoksalny. Otóż wioska dziecięca w Bilgoraju formalnie nie istnieje. Obecnie jest to dzieciniec rodzinnych domów dziecka (będzie piętnaście) zgromadzonych akurat w jednym miejscu i funkcjonujących tak, jak każdy dom tego typu w Polsce. Rzecz robi się o brak statutu placówki.

Otóż dla polskich prawników wioska dziecięca to orzech nie do ugryzienia. No bo jak? Czy można w jakimkolwiek akcie prawnym stwierdzić, że ktoś powinien pracować szesnaście godzin na dobę i jeszcze pełnić dyżur nocny? Zresztą rodzinne domy dziecka również działają na wariackich papierach — z tego samego powodu.

Więc co dalej? Projekt statutu Wioski Dziecięcej w Bilgoraju, jak się dowiaduje

w Ministerstwie Oświaty i Wychowania, krąży gdzieś między resortami finansów, pracy, płac i spraw socjalnych, spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych, a nawet Komisji Planowania i nieprędko ujrzy światło dzienne z uwagi na owe komplikacje prawne. Najbardziej tym się martwi dyrektor bilgorajskiej wioski, Józef Cap, który czeka na statut jak na Mesjasza. Bo jak tu planować działalność, realizować inicjatywy i w ogóle objawiać entuzjazm, gdy wszystko jest na gębę, a z byle rachunkiem za kilogram gwoździ trzeba lecieć do Wydziału Oświaty i Wychowania. Na razie marzenia o własnym koncie bankowym dyrektor Cap musi odłożyć ad acta jako nierealne i zająć się kierowaniem instytucją, która — jak się rzekło — formalnie nie istnieje.

Drużyna, która bulwersowała opinię publiczną, i nadal bulwersuje, to

wioska dziecięca
jako koncepcja pedagogiczna

Wszyscy moi rozmówcy w Bilgoraju i Zamościu przyznawali, że jest to na naszym gruncie koncepcja kontrowersyjna, ale na pewno lepsza niż dom dziecka. Taka konstatacja kryje dużo dobrej woli i trochę demagogii. Otóż jeszcze lepsza jest koncepcja rodzinnego domu dziecka, prowadzonego przez małżeństwo — kobietę i mężczyznę — którego przecież nikt nie zastąpi w kształtowaniu osobowości dzieci,

właszcza chłopców. Brak pierwiastka męskiego w procesie wychowawczym może doprowadzić do zaburzeń osobowości — stwierdzają psychologowie. Świadom tego był Hermann Gmeiner, Austriak, który wymyślił wioskę dziecięcą, i który mimo to postawił na kobietę, i to samotną. Dlaczego?

Pierwsza wioska dziecięca, według założeń Gmeinera, powstała w 1949 roku w tyrolskim miasteczku Imst. Austriacki pedagog usiłował wówczas rozwiązać nabrzmiały problem sierotwa dzieci po II wojnie światowej w sposób najbardziej przystawalny do tamtych czasów, wykorzystując także fakt, że wtedy wiele kobiet było skazanych na samotność z powodu wielkiego niedoboru mężczyzn. Ponadto zauważył, że dzieci osieroczone prawie bez wyjątku lgną do kobiet, a także to, że złe znoszą częste zmiany na stanowiskach wychowawczyń sierocińców. To wszystko razem podsunęło mu myśl, że ulżyć losowi sierot mogłaby tylko przydzielona na stałe matka, która niepodzielna miłością do nich wypełniałaby całe swoje serce.

Koncepcja Hermanna Gmeinera stanowiła również reakcję na postawę zachodniego społeczeństwa, które scedowało obowiązki opieki nad sierotami na specjalne

6

KRONIKA

(od poniedziałku do niedzieli)

● Spotkanie z aktywnym związkowym

Na spotkaniu z aktywnym związkowym Rzeszowa i województwa rzeszowskiego (13 XII ub. r.) prezes ZNP, Kazimierz Piłat, przedstawił główne kierunki pracy Zarządu Głównego w świetle programu działania uchwalonego na XXXIII Krajowym Zjeździe Delegatów ZNP. Kol. Piłat uczestniczył również w rozmowach kierownictwa Zarządu Oddziału z prezesem miasta Rzeszowa. Podczas spotkania — które odbyło się w siedzibie Zarządu Okręgu ZNP — omówiono problemy dotyczące sytuacji zdrowotnej nauczycieli oraz utworzenia poradni specjalistycznej dla tej grupy zawodowej.

● Jubileusz Biblioteki ZNP

W gmachu ZG ZNP odbyła się 15 XII ub. r. uroczystość związana z 50-leciem Biblioteki ZNP. Biblioteka, utworzona w 1933 roku, gromadzi książki i czasopisma z dziedziny pedagogiki i nauk pokrewnych, wydawnictwa dotyczące historii i działalności ZNP oraz literaturę piękną. Z jej zbiorów korzysta rocznie około 2500 nauczycieli, pracowników oświaty oraz studentów. Z okazji jubileuszu zorganizowano wystawę najcenniejszych pozycji z księgozbioru. W uroczystym spotkaniu wzięli udział czytelnicy biblioteki; uczestniczył w nim kol. Jan Zaciura, wiceprezes ZG ZNP.

● O kształceniu i doskonaleniu nauczycieli.

15 XII odbyło się spotkanie dyskusyjne pracowników IKN — członków ZNP. W dyskusji, którą zainicjował wiceprezes ZG — Jan Zaciura, szczególne miejsce zajęły problemy kształcenia, dokształcania i doskonalenia nauczycieli oraz ich znaczenie w programie działania Związku Nauczycielstwa Polskiego.

● Szkolenie aktywu związkowego

Prezes ZNP Kazimierz Piłat spotkał się 15 XII ub. r. w Harbutowicach z aktywnym ZNP woj. tarnowskiego. W trakcie spotkania — w którym uczestniczył także redaktor naczelny „GN” — Zbig. Pawłowski — działacze związkowi zapoznani zostali z aktualnymi problemami pracy związkowej oraz stanem realizacji uchwał XXXIII Zjazdu ZNP.

W dniach 15—17 XII zorganizowano w Ameliówce konferencję szkoleniową aktywnego Związku Nauczycielstwa Polskiego z woj. kieleckiego. W czasie konferencji odbyło się spotkanie z kierownikiem Wydziału Pedagogicznego ZG ZNP, kol. Lidią Brzezińską. Działacze ZNP zostali zapoznani z możliwościami i warunkami realizacji programu ZNP oraz z aktualnymi problemami pracy związkowej.

● Posiedzenie Komisji Polityki Społecznej KC PZPR.

16 XII ub. r. odbyło się posiedzenie Komisji Polityki Społecznej KC PZPR, na którym wymieniono poglądy z przedstawicielami związków zawodowych na temat przebiegu konsultacji w sprawie cen artykułów żywnościowych oraz założeń doskonalenia konsultacji społecznych. Posiedzenie prowadził sekretarz KC PZPR, Jan Głowczyk. Związek Nauczycielstwa Polskiego reprezentował wiceprezes ZG ZNP, Jan Zaciura.

● W Sejmie o ordynacji wyborczej

Z inicjatywy Społecznej Komisji Konsultacyjnej przy Radzie Państwa, odbyło się w Sejmie 16 XII ub. r. spotkanie z przedstawicielami ogólnokrajowych organizacji związków zawodowych. Poświęcono je przedyskutowaniu założeń ordynacji wyborczej do rad narodowych. ZNP reprezentował kol. Eugeniusz Sobieraj.

● W NK ZSL o problemach mieszkaniowych

16 XII ub. r. odbyło się w NK ZSL spotkanie konsultacyjne, poświęcone omówieniu międzyresortowego programu budownictwa mieszkaniowego dla inteligencji wiejskiej. W szczególności duże potrzeby mieszkaniowe odczuwa środowisko nauczycielskie, o czym mówił wiceprezes ZG ZNP — Michał Langowski.

● Spotkanie w Zarządzie Głównym

W siedzibie ZG ZNP odbyło się 16 XII ub. r. spotkanie wiceprezesa ZG ZNP, Jana Zaciury z kadrą kierowniczą i działaczami Związku Nauczycielstwa Polskiego miasta i gminy Pasłęk. Przedyskutowano najważniejsze problemy pracy pedagogicznej oraz funkcjonowania oświaty i zawodu nauczycielskiego.

Tak jak dziś widzę sytuację, to wychowawcy, pedagodzy, wszystkie najgorsze skutki kryzysu mają właśnie przed sobą i będą się z nimi długo borykać. Myślę, oczywiście, nie o materialnym położeniu tej grupy społecznej. Można przewidzieć, że będzie wprawdzie nie najlepsze, z różnymi wahaniami, ale zmierzające ku stopniowej normalizacji. Opinia moja odnosi się do spraw pierwszoplanowych dla każdego z nas: zadań, jakie w pracy zawodowej będziemy musieli podjąć i wykonać; celów, które musimy osiągnąć.

Zbyt długo, i zbyt często, pojęcie kryzysu łączymy li tylko z codziennymi trudnościami, z dezintegracją społeczną odczuwaną jako kolejna dolegliwość. Zbyt rzadko patrzymy na okres, który przyszło nam przeżyć, pod kątem obowiązków, które on niesie. Nadzieja, że gdy złe czasy miną,

się pod ostrzałem plotki, pomówienia, rozdmuchuje się do nieproporcjonalnych rozmiarów najmniejsze nawet potknięcia władzy, sęczy nienawiść do własnego kraju. Specjalizują się w tej działalności nasi zagraniczni przyjaciele różnej proweniencji, których liczbą można by obdzielić całe Tyciąclecie. Nie łudźmy się, także wszelkiej maści złodzieje i drobni kombinatory na własny i otoczenia użytek tworzą i upowszechniają ideologię mającą kreować ich na ludzi kryształowo uczciwych. Bo przecież, na przykład, w ogóle jeżdżenie na gapę przynosi wstyd, ale gdy się jest przeciwko komunistom... To, w niektórych kregach, nobilituje.

Ten celowo przeczerznięty obraz można by uszczegółowić — dodawać mu barw, szukać uwarunkowań poszczególnych zjawisk. Nie o wyważoną prawdę jednak cho-

MOIM ZDANIEM

NIKT NAS NIE WYRĘCZY

wtedy, na serio weźmiemy się do pracy, jest wynikiem złudzeń, gdyż fakty rysują zupełnie inny obraz.

Krótkie przypomnienie: cztery miesiące temu zniesiony został stan wojenny, przedłużono działanie aktu amnestyjnego, nie tylko położono tamę rozpasanu najróżniejszych rodzajów kartek, bonów, sterowanych sprzedaży itp., ale ograniczono także oficjalną reglamentację; sklepy nie świecą już tak rozpaczliwie pustymi półkami. To po stronie aktywów — pasywa znamy wszyscy i nie ma potrzeby ich przypominać.

A jednocześnie tylko w dziesięciu miesiącach tego roku otwarto ćwierć miliona postępowań o przestępstwa kryminalne, takie, jak złodziejstwo, rozboje, gwałty i pobicia. Toczą się śledztwa w 55 tys. spraw o przestępstwa gospodarcze, często są to afery obejmujące wieloosobowe grupy. Pasożytnictwo społeczne przybiera zastraszające rozmiary; i nie myślę tu tylko o przyszłowiowych obibokach, ale przede wszystkim o różnego rodzaju niebieskich ptakach, kryzysowych milionerach. Alkoholizm to oddzielny rozdział, wystarczy rozejrzeć się dokoła, posłuchać cotygodniowych komunikatów o liczbie i przyczynach wypadków drogowych, uprzytomnić sobie, że co rano przy niemałej części maszyn w fabrykach stają ludzie zamroczeni, z trzęsącymi się rękami. Narkomania, straszny skutek dążenia do „dorównania Zachodowi” wkroczyła do naszego kraju. Liczba dzieci pozbawionych opieki, zagrożonych demoralizacją, sięga 100 tysięcy.

Obraz, złożony z wyrwykowych danych statystycznych, trzeba wzbogacić skomplikowaną sytuacją polityczną, klimatem, który powstaje jako wynik różnorodnych oddziaływań i wpływów. Ciągłe znajdujemy

dzi. Był on mi potrzebny do zwrócenia uwagi na jeden jego aspekt: w takich oto środowiskach i warunkach żyje, zdobywa doświadczenie społeczne i kształtuje swój stosunek do ludzi, kraju i świata młode pokolenie Polaków. Czy z takim bagażem potrafią oni egzystować w wymarzonej przez nas Polsce po kryzysie? To przecież jasne, że nie! I naszym obowiązkiem jest przeprowadzić ich właśnie do tej lepszej przyszłości.

Dlatego sędze, najdłużej, najzacieklej — walczyć ze skutkami kryzysu będą musieli wychowawcy. Młode skorupki nasiakają szybko i im bardziej nasiakną, tym proces wywabiania plam będzie trudniejszy, dłuższy. Więc właśnie wychowawcy, pedagodzy nie mogą czekać aż będzie lepiej, aż sytuacja się unormuje. Ich wielką społeczną powinnością jest podjąć to zadanie po to, by w ogóle mogło być naprawdę lepiej.

Nastroje, wyrażane w powtarzanym często sformułowaniu: „jak mamy w tych warunkach wychowywać?”, tworzą w niektórych gronach pedagogicznych klimat wyczekiwania na czasy, kiedy proste będzie kształtowanie u młodzieży właściwych postaw, wpajanie pożądanых nawyków, bo w świadomości uczniów nie będzie następowało zderzenie tego, co mówi szkoła, z tym, co widzą wokół siebie. Nosiciele takich poglądów nie zastanawia fakt, że dziś młodzież nader często traktuje obowiązek szkolny jako pańszczyznę, nie ma zaufania do nauczycieli — po prostu nie lubi szkoły. Czy przypadkiem nie zastanawia im tego smutnego widoku liczby, na których ustawicznie dodają, ile im za poszczególne zawodowe czynności winno być płacone?

Nauczyciel to zawód trudny, odpowiedzialny; powinien być opłacany najlepiej, jak na to społeczeństwo w danej chwili stać. Ale to także społeczna służba, powołanie, któremu nauczycielski stan musi sprostać. Każda sytuacja jest konkretna, także ta dzisiejsza, w której dla niemałej części uczniów szkoła stanowi właściwe jedyne miejsce, gdzie mogą się zetknąć ze zdrowym systemem ocen, dowiedzieć się, że istnieją wartości o wiele cenniejsze niż te, które obowiązują w ich środowiskach, znaleźć zrozumienie dla przeżywanych dylematów, często uzyskać pomoc. A co się stanie, co niejednokrotnie już się stało, gdy szkoła, nauczyciel, wychowawca — nie spełniają tych oczekiwań...

Polska szkoła, polski nauczyciel — do takiego stwierdzenia upoważniają mnie fakty z przeszłości, także przeszłości ZNP — z pewnością sprostają tym oczekiwaniom. Że to jest trudne? Jeszcze jak! Ale kto powiedział, że zrobić można tylko to, co jest łatwe? Skomplikowane warunki, w jakich nauczycielom przychodzi podejmować trudy usuwania groźnego cienia, który kryzys — przez swój destrukcyjny wpływ na morale młodego pokolenia — może rzucić na przyszłość kraju, dyktują w pewnym sensie wyjątkowość środków. Wyrażać się ona winna w odejściu od metod stosowanych dotychczas.

Czas najwyższy odłożyć na bok spory, kiedy i kto ma realizować zadania wychowawcze, a kto i kiedy dydaktyczne. Przyjmijmy roboczą tezę, że nauczyciel znaczący wychowawca i postępujemy zgodnie z tym założeniem. Z zespołów nauczycielskich uczynmy ośrodki wymiany wiedzy, doświadczeń i metod służących najskuteczniejszemu oddziaływaniu na młodzież. Zapewnijmy jej nie tylko zdobycie sumy wiedzy wymaganej przez program, ale także ochronę przed niebezpieczeństwami, jakie niesie pusty, niezagospodarowany czas; obudźmy w niej ciekawość, zaraźmy różnymi, także własnymi pasjami. Sprawmy, by w nauczycielu uczeń zawsze widział przyjaciela, powiernika. Słowem, poświęćmy młodzieży swój czas i serce, a także znajdziemy dla tych działań sojuszników. Tych ostatnich prawdziwy wychowawca potrafi sam sobie wywołać. Ich potencjalna lista jest zresztą już dziś wcale niemała.

Więc zacznijmy od organizacji młodzieżowych — harcerstwo, ZSMP, samorządy szkolne... Serdeczna uwaga, pomoc, umiejętność podpowiedzenia kierunku działań, dyskretna kontrola — to środki, które w ręku pedagoga zaowocują rozbudzeniem u młodych żąderszych zainteresowań, umiejętności zespołowego działania, rezygnowania z własnych interesów w imię celów stawianych przez grupę. Z kolei najszerzej pojęte środowisko, a więc rodzice — ci aktywni, nie zaferowani wyłącznie dążeniem do urzędowania się — opiekuńcy zakład prac, wojsko, PRON, milicja... A więc wszystkie osiągalne przez wychowawcę kręgi społeczne, dzięki którym ich podopieczni nawiążą kontakt z ludźmi podejmującymi działalność sprawdzalną, widoczną, przynoszącą określone efekty.

Niezastępowalną rolę w kształtowaniu młodych charakterów musi każdy nauczyciel spełnić sam. Nauczyciel, bo każdy, kto uczy młodzież, jest, musi być, wychowawcą, pedagogiem. „Główne kierunki wychowania” nakładają ten zaszczepny obowiązek na wszystkich nauczycieli. I jak wskazuje tylko pobieżny przegląd sytuacji, we własnym interesie wychowawcy muszą podjąć go jak najszybciej. Bo oświadczenie, że „takie będą Rzeczypospolite, jakie młodzieży chowanie” nie jest tylko zręcznym cytatem przywoływanym z uroczystych okazji, a samą najszczerzą prawdą.

MARIA KALIŃSKA

NA POMNIK MATKI POLKI

● Członkowie ZNP w Ryglicach, woj. tarnowskiego oraz pracownicy szkoły gminnej zebrali na fundusz Pomnika Matki Polki 1000 zł.

● Nauczyciele Zbiorczej Szkoły Gminnej w Działdowie Kłodzie i Szkoły Podstawowej Miłowie, młodzież i pracownicy nie będący nauczycielami zebrali 11 145 zł na Pomnik Matki-Polki w Łodzi.

● Zarząd Ogniska ZNP nr 20 przy Zespole Szkół Zawodowych nr 4 w Tomaszowie Maz. informuje, że w 15 XI 1983 dokonano wpłaty 5 938 zł na fundusz Szpitala — Pomnika Matki-Polki.

Uczniowie, pracownicy i nauczyciele Szkoły Podstawowej im. Aleksandra Zawadzkiego w Golinie zebrali i wpłacili na Pomnik Matki-Polki 6636 zł. Przeprowadzeniem zbiórki i dokonaniem wpłaty na konto ZNP w Warszawie zajął się samorząd uczniowski.

● Młodzież Szkoły Podstawowej im. plk. Jana Pokrzywy w Czyżowie Szlacheckim, woj. tarnobrzeskie, zebrala i wpłaciła w listopadzie 1983 r. na konto Pomnika Matki Polki 11 825 zł, znacznie przekraczając tym samym zamierzenia samorządu uczniowskiego, który zobowiązał się zebrać do czerwca 1984 roku 8600 zł, tj. po 50 zł od ucznia. Informując o tym, młodzież szkoły czyżowskiej apeluje do samorządów uczniowskich w całej Polsce o czynne poparcie inicjatywy budowy Pomnika.

● Uczniowie Zespołu Szkół w Niepołomicach przekazali na Pomnik Matki-Polki 5000 zł. Pieniądze te pochodzą z akcji „wykopki”.

● Młodzież Liceum Ogólnokształcącego i Liceum Rolniczego im. Powstańców Śląskich w Praszce przeznaczyła 4200 zł na budowę Pomnika Matki-Polki. Pieniądze

te uczniowie zarobili sprzedając makulaturę.

● W odpowiedzi na apel Zarządu Okręgu ZNP nauczyciele, pracownicy administracyjno-obslugowi oraz członkowie Związku Nauczycielstwa Polskiego przy Zbiorczej Szkole Gminnej w Bojanowie przekazali na Pomnik Matki-Polki 3800 zł. Jednocześnie zwracają się do wszystkich nauczycieli i placówek oświatowo-wychowawczych o dalsze przekazywanie środków na ten wspólny cel.

● Młodzież Liceum Ogólnokształcącego w Starym Sączu wpłaciła na konto Szpitala Matki-Polki 4000 zł, które uczniowie zarobili przy zbiorze jabłek.

OD REDAKCJI: Pragniemy poinformować, iż do końca listopada 1983 roku na związkowe konto budowy Pomnika Matki-Polki wpłynęło ogółem z placówek oświatowych i ogniw związkowych całego kraju 842 tys. zł.

Przypominamy numer konta: Związek Nauczycielstwa Polskiego, Warszawa, ul. Spasowskiego 6/8 NBP III O/M Warszawa nr 1036-7719-132.

RÓWNANIE

W DÓŁ

Dwa instytuty. Oba resortowe. Jeden spod znaku kultury, drugi — leśny. I ten, i ten podlegać będzie przepisom określonym w ustawie, której kolejny projekt nazwany został „statusem prawnym placówek naukowych i badawczych”, bowiem tą samą normą prawną objęte być mają poza instytutami wszystkie inne placówki badawczo-rozwojowe. Z wyłączeniem oczywiście tych, które podlegają resortowi nauki, gdzie ustawa już jest i Polskiej Akademii Nauk, która na nowe usankcjonowanie prawne wciąż czeka.

Zdaniem dyr. Edmunda Hezy z Instytutu Kultury, zaprezentowany projekt jest na ogół dobry, satysfakcjonuje ich z małymi zastrzeżeniami. W Instytucie Badawczym Leśnictwa zastrzeżeń było dużo, dużo więcej, a generalna ocena brzmiała: zdecydowanie zły, ściągą naukę resortową w dół. Dwa instytuty, dwa punkty widzenia.

DOBRY, ALE NIE CAŁKIEM

— Jest to dokument od bardzo dawna oczekiwany przez środowisko i jako sam dokument przyjęty został dobrze — mówi zastępca dyrektora ds. naukowych Instytutu Kultury przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, dr Edmund Heza. Z tym, że ustawa ta powinna być przyjęta łącznie z ustawą o Polskiej Akademii Nauk, jeśli prawdą jest, że myślą przewodnią obecnych działań legislacyjnych ma być unifikacja statusu prawnego wszystkich trzech pionów nauki i pracowników naukowych w nich zatrudnionych, dalej powiązanie teorii z praktyką oraz stworzenie drożnego przepływu kadry pomiędzy tymi instytucjami.

Największe nasze obawy budzą dwie kwestie: samofinansowanie i wdrożenia. Instytut wchodzi w tej chwili w etap — niezależny co prawda od ustawy, mimo to będzie ona miała nań pewien wpływ — przeprofilowania swej działalności, budowy nowej struktury, określenia głównych kierunków pracy naukowej, i właśnie finansowego usamodzielniania się.

Uważam, że tak w sferze kultury, jak i nauki pełen własny rozrachunek gospodarczy raczej nie jest możliwy. Nie wyobrażam sobie, byśmy całkiem mogli przejść na samofinansowanie. Przyjmam więc w pierwszym etapie subwencja będzie konieczna. I teraz powstaje pytanie — jak długo ten pierwszy etap może potrwać? Nie potrafię nań odpowiedzieć.

W każdym razie jesteśmy jeszcze jednostką budżetową, choć trwają już dyskusje na ten temat tak w samym instytucie, jak i między naszym kierownictwem a szefostwem resortu kultury. Resort liczy na to, że po przejściu na własny garnuszek zmuszeni będziemy do ściślejszego powiązania naszej pracy z codzienną działalnością poszczególnych jego departamentów. Niektórzy twierdzą, że jako instytut resortowy powinniśmy zaspokajać przede wszystkim właśnie potrzeby resortu — zaniechać wszelkich badań podstawowych, teorii, a zając się praktyką. Wydaje mi się, że bardzo niebezpieczne jest takie wąsko pragmatyczne pojmowanie funkcji instytutu naukowego, tracenie z pola widzenia szerokiego kontekstu.

W Instytucie Kultury boją się więc trochę, że odebrane im zostaną możliwości stworzone przez subwencje wówczas, gdy nie będą jeszcze dojrzały do pełnego samofinansowania. Pewien czas też musi upłynąć, aby ludzie — przyzwyczajeni do dużej swobody w zakresie badań indywidualnych — uświadomili sobie, że muszą one być ściślej związane z doraźnymi potrzebami społecznymi. To też nie będzie takie łatwe, choć oczywiście

te, gdy kadra odczuje, że od niej samej zależy to, co będzie do podziału, sama zapewne postara się też pracować efektywniej.

Niepokoje ich też sprawa wdrożeń. Jeżeli nawet Instytut będzie podejmował częściej niż do tej pory tematy potrzebne do przygotowania decyzji kierownictwa resortu, poszczególnych departamentów — na ile to co srobia, będzie wykorzystane, przyjęte do praktyki? Tu potrzebne jest sprzężenie — twierdzą. — Musi być dobra, trafna, uczciwie przeprowadzona ekspertyza, raport, ocena grona badawczego, ale także i dobra wola, nie biurokratyczne nastawienie ośrodków decyzyjnych. Niestety, nie bardzo „lubią” one korzystać z ekspertyz, sformułowanych na ogół ostro, nie oszczędzających ani problemów, ani ludzi. Być może reforma gospodarcza odniesie ten pozytywny skutek, że zleceniodawca, który zapłaci za ekspertyzę — wykorzysta ją później. Są to pytania, na które w Instytucie już dziś chcieliby znać odpowiedź...

BEZ ULG

W istniejącym od 1930 r. Instytucie Badawczym Leśnictwa, mającym duże osiągnięcia badawcze oraz sukcesy w kształceniu młodej kadry naukowej — udokumentowane choćby posiadanymi od lat uprawnieniami do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego — sprawa samodzielności gospodarczej niepokojów nie budzi. Budzi je za to jedna sprawa generalna i szeregi pomniejszych. Druzgocąca ocena projektu — jaką usłyszałam w Instytucie — wynika z faktu, że zawarte w nim przepisy sformułowane w ten sposób, by ratować jednostki organizacyjne o bardzo zawężonej problematyce badań, na przykład laboratoria przyfabryczne lub powoływane przez przedsiębiorstwa specjalistyczne placówki wdrożeniowe. Instytuty legitymujące się określonym dorobkiem naukowym taryfy ulgowej nie potrzebują, na obniżeniu wymagań im nie zależy — wręcz przeciwnie, zamierzają bronić nauki pisanej dużą literą, mimo że resortowej. Należałoby więc — ich zdaniem — obecny projekt ukierunkować wyłącznie na instytuty naukowe, a dopuścić stosowanie tej ustawy przez inne pomniejsze organizmy badawczo-rozwojowe.

Ustawa o instytutach musi mieć na tyle wysoką rangę, by skończyć wreszcie z podziałami nauki i naukowców na tę lepszą i tych lepszych ze szkolnictwa wyższego i Polskiej Akademii Nauk oraz tę słabszą i tych gorszych — instytutowych. Stąd też w Instytucie uważają, że najkorzystniejszym rozwiązaniem byłoby jednocześnie wydanie ustawy o Polskiej Akademii Nauk, co przerwałoby dyskusję na temat podziału nauki polskiej.

Paradoksem jest bowiem, że np. ci sami, w tym samym trybie mianowani profesorowie zatrudnieni w uczelniach, PAN i instytutach — mają różne nie tylko uposażenia, ale i uprawnienia. Np. sprawa udzielania dodatkowych urlopów naukowych jest przykładem wyraźnego zróżnicowania pracowników w zależności od miejsca pracy. Podobnie w ustawie o szkolnictwie wyższym mówi się o 20 proc. dodatku do emerytury czy renty, zaś art. 54 projektu mówi o 15 proc. U leśników nie bez racji pytają, czy opłaca się starszym, doświadczonym pracownikom z tytułami i stopniami pracować do końca swej zawodowej kariery w instytutach. Będą więc oni zapewne szukali możliwości przejścia do szkolnictwa wyższego. Tym bardziej że istniejące przepisy pozwalają na zaliczenie pracy w instytutach na równi z pracą w szkolnictwie wyższym. Dla podkreślenia prestiżu stanowisk profesora i docenta — ustawa o szkolnictwie wyższym wprowadziła pojęcie „mianowania na stałe”. Podobnego zapisu w projekcie ustawy o instytutach zabrakło. Znalazł się jednak passus całkiem zbędny o tym, że „statut instytutu może przewidywać również stanowisko profesora kontraktowego i docenta kontraktowego”. Został on przeniesiony z ustawy o szkolnictwie wyższym, gdzie może mieć zastosowanie w przypadku powierzenia wybitnemu specjalście bez tytułu i stopni naukowych obowiązków wyłącznie dydaktycznych. W instytutach argument ten odpada.

Dla zatrudnionych w instytutach inżynierów ogromne znaczenie ma jednoznaczne określenie nadawania stopni specjalizacji zawodowej. W projekcie brak jest jednak stwierdzenia, iż posiadanie odpowiedniego stopnia naukowego równoważy określony stopień specjalizacji.

Wątpliwości budzą również paragrafy dotyczące rady naukowej instytutu. Analogicznie jak w szkolnictwie wyższym, powinni wchodzić do niej pracownicy posiadający tytuły naukowe lub stopień dr hab., osoby zatrudnione na stanowisku docenta oraz przedstawiciele osób posiadających stopień doktora zatrudnione na stanowisku adiunkta i głównego specjalisty. Ich zdaniem dyrektor nie może przejąć kompetencji rady naukowej w zakresie nadawania stopni naukowych, sekretarzem naukowym instytutu powinna być osoba mająca tytuł i stopień naukowy, zatrudniona na stanowisku docenta lub głównego specjalisty.

Instytuty posiadające uprawnienia do nadawania stopni naukowych powinny podlegać i być nadzorowane przez centralny organ administracji czyli ministerstwo, co również w projekcie nie zostało jasno określone.



Takie i mnóstwo drobniejszych uwag do projektu zgłosiła powołana do jego zaopiniowania komisja w Instytucie Badawczym Leśnictwa. Przyswiewcał im jeden cel. Obrona nauki instytutowej przed ustawową degradacją. Wyszli bowiem z założenia, że młodzi wychowywać się i kształcić powinni co prawda na uczelniach, ale dalsze naukowe szlify zdobywać w instytutach, w doświadczalnictwie, by po latach wróciwszy na uczelnię w odmiennej już roli — sami mogli kształcić posługując się własnymi doświadczeniami wyniesionymi z praktyki. Jest to na pewno jedna z dróg do kariery naukowej. Jej mistrzowie, jak powiedział niedawno prof. Henryk Jabłoński, „materializują teorię, która bez ich wysiłku byłaby bezużyteczna, oni czynią z niej siłę społeczną”.

HALINA SZYMCZAK

ŻYCZENIA

Spotkanie było raczej towarzyskie, podobny charakter miały też życzenia wypowiedziane spontanicznie przez niektórych jego uczestników pod adresem zbliżającego się właśnie Nowego Roku 1984.

— Chciałabym bardzo, by szef nie zadreżczał nas tak straszliwie swym zrządzeniem i skrupulatnością.

— Oby tak kolejki w naszych sklepach nabrały nieco lepszych manier...

— Marzę o tym, by mój jedynak przyniósł wreszcie do domu choćby czwórkowe świadectwo!

— Gdyby tak lekarz z przychodni choć raz porozmawiał ze mną tak, bym miała przekonanie, iż naprawdę pragnie mnie wyleczyć.

— Żeby mój mąż zechciał robić zakupy choć raz w tygodniu...

— Życzenia były bardzo skromne i naturalnie — co nietrudno było przewidzieć — świadczyły zwłaszcza o tym, iż trudy i uciążliwości codzienne ciągle dają się nam mocno we znaki i w dalszym ciągu koncentrują naszą energię i uwagę. Jednak nie z tego powodu przytoczyłam niektóre z nich, by pisać znów o tym, że żyje się nam ciężko, a nawet bardzo ciężko. Uczyniłam to dlatego, gdyż uderza bardzo jednostronność owych pragnień i życzeń. Jednostronność dająca zresztą o sobie znać i w wielu innych sytuacjach, a nie tylko przy takich okazjach, jak zbliżający się Nowy Rok (choć w takich — szczególnie).

— Cóż zatem tak bardzo mnie uderzyło? To mianowicie, że również wówczas, gdy formułujemy życzenia — a więc gdy myślimy w szczególny sposób o przyszłości, o pewnej perspektywie, zatem i o poprawie istniejącego stanu rzeczy, różne zadania stawiamy tylko i wyłącznie przed innymi: rodziną, kolegami, szefami, różnymi organizacjami, instytucjami itp. itp., a prawie nigdy przed sobą.

Nikt z zebranych nie powiedział przecież czegoś w rodzaju: „Od 1 stycznia postaram się wykonywać przydzielone mi zadania tak, by kontrola techniczna nie miała do mnie nawet najmniejszych pretensji”.

Lub też: „Chciałabym bardzo, aby udało mi się nawiązać taki kontakt emocjonalny i intelektualny z moją klasą, byśmy naprawdę mogli się zaprzyjaźnić — i to na zasadach partnerskich”.

Czy też nie sformułował znacznie prostszego i skromniejszego życzenia: „Muszę koniecznie w nadchodzącym roku zaznajomić się wreszcie głębiej z głośnym raportem Faure’a „Uczyć się aby być”...

Być może, ten i ów myślał w podobny sposób. Być może... Jednak głośno nikt nie podzielił się marzeniem czy życzeniem kierowanym głównie pod adresem samego siebie.

Spostrzeżenia takie można zresztą czynić — o czym doskonale wiemy z codziennej praktyki — nie tylko w dzień sylwestrowy czy inny odświętny, kiedy to setki najróżniejszych życzeń ciśnie się na usta.

Warto więc chyba przypomnieć znamienne słowa Georga Lichtenberga, który w jednym ze swych aforyzmów zauważa: „Trzeba czegoś nowego dokonać, by coś nowego zobaczyć”.

Więc wszystkiego najlepszego w 1984 roku! Również i tego NOWEGO — choćby nawet najskromniejszego — którego autorem będzie każdy z nas.

SPRAWA WIARYGODNOŚCI

Szerogowy członek związku płaci składki, bierze udział w zebraniu, zgłasza postulaty i na tym mniej więcej kończy się jego związkowa aktywność. Wiadomo, jak jest. Po to, żeby działać — trzeba mieć przede wszystkim czas. A tego w codziennym zabieganiu najczęściej brakuje. Szerogowy członek związku od działania ma więc ludzi, na których postawił w czasie wyborów. Mandatariuszy, którzy mają spełniać w jego imieniu nie tyle zaszczepione reprezentacyjną, ile rolę obrońcy jego interesów. Każdy, kto dobrowolnie się na jakiś cel opodatkuję, chce wiedzieć, co będzie z tego miało. Członkowie oczekują od Związku nie deklaracji, lecz wymiernych dla każdego z nich wyników działania.

Ta świadomość towarzyszyła już od pierwszych chwil grudniowemu zebraniu plenarnemu Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Prezes ZNP Kazimierz Piłat, informując o pracy Sekretariatu i Prezydium ZG, skrupulatnie wyliczył wszystkie duże i małe przedsięwzięcia podejmowane przez oba te ciała od pierwszego plenum. O wielu z nich pisaaliśmy obszernie na bieżąco. Tu przypomnę je tylko w telegraficznym skrócie: a więc odbyły się cztery posiedzenia Sekretariatu ZG poświęcone analizie funkcjonowania Biura Podróży i Turystyki ZNP „Logostor” i jego zamierzeniom w roku 1984, związkowej wersji porozumienia ZNP z MOiW, wstępnym założeniami regulaminu sądów koleżeńskich oraz sekcji związkowych i zawodowych, wstępnym konsultacjom regulaminu zaszkoleń statutowych; dwa posiedzenia Prezydium ZG poświęcone organizacji pracy Biura Zarządu Głównego, strukturze organizacyjnej i obsadzie personalnej kierowników wydziałów, zatwierdzeniu założenia projektu planu pracy i budżetu ZNP; odbyło się kilka spotkań z przedstawicielami partii i stronnictw politycznych oraz władz państwowych dla omówienia istotnych dla tego ruchu problemów, zorganizowano narady szkoleniowe aktywów wojewódzkich, spotkania z nauczycielami w terenie, prezes Piłat brał udział w posiedzeniu FISE w Łublinie. Wszystkie te poczynania stanowią dobry punkt wyjścia do rozpoczęcia działalności ZNP w nadchodzącym okresie.

Od tego, co było, kolejny mówca — wiceprezes ZG Michał Langowski — przeszedł do tego, co będzie. Przedstawił on ramowy plan pracy ZNP w najbliższym roku, w której pierwszej części zawierał temat posiedzenia ZG i jego prezydium, zaś w części drugiej podstawowe obowiązki wynikające z realizacji programu XXXIII Zjazdu. Plan ten ma charakter inspirujący i koordynujący, a choć obciąża wszystkie zarządy okręgów i oddziałów do realizacji, to oczywiście nie oznacza, że plany ich pracy nie powinny brać pod uwagę lokalnych potrzeb, służąc poprawie konkretnej sytuacji.

REGULAMIN

ustalania i wypłaty zasiłków statutowych członkom ZNP

Na podstawie art. 5 pkt. 8 Statutu Związku Nauczycielstwa Polskiego członkowie Związku i członkowie ich rodzin spełniający określone w niniejszym regulaminie warunki mają prawo do otrzymania od swoich macierzystych oddziałów związkowych zasiłków statutowych z tytułu urodzin dziecka, śmierci członka ZNP lub członka jego rodziny.

I Uprawnienia do zasiłków statutowych

1. Do zasiłków statutowych z tytułu urodzin dziecka mają prawo członkowie ZNP zaliczeni dwuletnim stażem związkowym.

2. Do zasiłków statutowych z tytułu śmierci członka rodziny lub członka związku mają prawo członkowie ZNP z zali-

Od dawna sytuacja w dziedzinie kształcenia i doskonalenia nauczycieli wywołuje krytykę. Obecny system nie odpowiada ani potrzebom szkoły, ani nauczycieli. Temat ten będzie jednym z pierwszych, podjętych na posiedzeniu plenarnym ZG.

W połowie 1984 roku przewidywane jest określenie stanowiska władz politycznych i państwowych w sprawie systemu edukacji narodowej. Związek również przedstawi swoje w tej kwestii stanowisko. Jako priorytetowe i nie cierpiące zwłoki zebrani uznali uregulowanie warunków placowych i statusu pracowników nie będących nauczycielami. Zgodnie z ustaleniemi Zjazdu, zobowiązującymi Zarząd Główny do opracowania do końca roku szkolnego 1983/84 oceny realizacji Karty Nauczyciela, w III kwartale na posiedzeniu plenarnym podsumowana będzie dyskusja na ten temat. Wreszcie w IV kwartale podjęta zostanie problematyka ochrony zdrowia pracowników oświaty. Opracowanie na podstawie wyników badań raportu o stanie zdrowia i związanych z tym wniosków pozwoli na kompleksowe uregulowanie opieki lekarskiej, określenie chorób zawodowych i całego systemu profilaktyki zdrowotnej wśród pracowników oświaty i wychowania.

Liczne zadania zakreślone planem mogą być realizowane jedynie przy szerokim udziale oddziałów i okręgów. Wykonanie tych zadań będzie spełnieniem przez Związek funkcji rzecznika oraz obrońcy interesów i praw pracowniczych swych członków. W wielu przypadkach są to zadania bardzo trudne. Niektóre z nich były podejmowane od wielu lat na ogół bez większych rezultatów. Czy więc ewentualne trudności mają oznaczać, że rezygnujemy z podejmowania najtrudniejszych problemów — pytał wiceprezes Langowski. Do takich podejmowanych od lat należą sprawy poprawy warunków mieszkaniowych nauczycieli. Obecnie potrzeby kształtują się na poziomie około 90 tys. mieszkań, w tym 81 tys. na wsi i w małych miastach. W mieszkaniach wynajmujących mieszka ponad 50 tys. nauczycieli, w tym 37 700 posiadających ustawowe prawo do bezpłatnego mieszkania. W latach 1983—85 przewiduje się uzyskanie z wszystkich źródeł ogółem 28 990 mieszkań, w tym 14 079 na wsi. Związek uważa, że sytuacja mieszkaniowa nauczycieli — zwłaszcza pracujących na wsiach i w małych miastach — determinuje poziom i wyniki pracy szkół, stwarza realne zagrożenie konstytucyjnej zasadę równych szans dla dzieci ze wsi. Bez rządowego programu poprawy sytuacji i jego konsekwentnej realizacji nie ma praktycznie szans rozwiązania tego problemu.

Jedną z możliwości łagodzenia kryzysu mieszkaniowego stanowi tworzenie małych spółdzielni mieszkaniowych nauczycieli, sfederowanych w jednej ogólnopolskiej organizacji. ZG zwrócił się z apelem do za-

czonym tryletnim stażem związkowym. 3. Uprawnienia do zasiłków statutowych członkowie ZNP potwierdzają opłaconymi składkami członkowskimi.

II Wysokość zasiłków statutowych

4. Wysokość zasiłków statutowych wynosi: z tytułu urodzenia dziecka — 3000 zł, a z tytułu śmierci członka ZNP — 4000 zł, z tytułu śmierci członka rodziny — 2000 zł.

III Warunki i przypadki szczególne

5. Zasiłek statutowy z tytułu urodzenia dziecka wypłacany jest każdemu ze współmałżonków, jeśli oboje spełniają warunki zawarte w punkcie 1 tego regulaminu.

6. W przypadku urodzenia bliźniąt zasiłek statutowy wypłaca się na każde dziecko.

7. W przypadku martwego dziecka wypłaca się tylko jeden zasiłek z tytułu urodzenia dziecka.

8. Zasiłek statutowy z tytułu śmierci członka rodziny wypłaca się w przypadku zgonu rodziców członka związku, współmałżonka, dziecka lub pasierba, któremu przysługiwał dodatek rodzinny.

9. Zasiłek statutowy z tytułu śmierci dziecka lub pasierba wypłaca się oboju

Obywatel
Piotr Stefański
wicemarszałek Sejmu PRL
Warszawa

Z wypowiedzi udzielonej przez Obywatela Marszałka dziennikarzom, zamieszczonej w artykule pt. „Najbliższe zamierzenia Sejmu” w numerze 297 „Rzeczpospolitej” z dnia 15 grudnia br. wynika, że Sejm w przyszłym roku zamierza podjąć m. in. prace nad nowelizacją Karty Nauczyciela. Informacja ta wywołała duże zaniepokojenie całego środowiska nauczycielskiego. Jest ona sprzeczna z oficjalnym stanowiskiem Komisji Oświaty i Wychowania Sejmu PRL, przekazany Krajowej Grupie Założycielskiej ZNP w dniu 7 października br. i przedstawionym delegatom na XXXIII Krajowy Zjazd Delegatów ZNP (tekst w załączeniu).

Obrađujący w dniu 19 grudnia br. Zarząd Główny ZNP zobowiązał Prezydium ZG do zwrócenia się z prośbą do Obywatela Marszałka o pilne wyjaśnienie czy informacja jest nieporozumieniem, czy też istotnie Sejm z własnej inicjatywy zamierza ponownie podjąć prace nad nowelizacją Karty.

W przekonaniu Zarządu Głównego ZNP nie zaistniały żadne nowe okoliczności, które upoważniałyby kogokolwiek do wystąpienia z projektem nowelizacji Karty.

Łączymy wyrazy szacunku

za Prezydium Zarządu Głównego ZNP

KAZIMIERZ PIŁAT
prezes

Do wiadomości:

Prof. dr Jarema Maciszewski
Przewodniczący Komisji Oświaty
i Wychowania Sejmu PRL

20 grudnia 1983 r.

rządów oddziałów ZNP, aby wszędzie tam, gdzie jest taka realna możliwość — podejmować inicjatywę tworzenia małych nauczycielskich spółdzielni.

Wcielenie w życie autentycznej kontroli społecznej musi oznaczać niedopuszczanie do nadużywania władzy i interweniowanie Związku w każdym przypadku naruszenia prawa. Po zakończeniu wyborów do władz Związku członkowie oczekują od nas wszystkich — mówił wiceprezes Langowski — skutecznych działań i konkretnych, wyliczalnych skutków naszej działalności. Jest to problem wiarygodności Związku jako powszechnej, społeczno-zawodowej organizacji pracowników oświaty i wychowania oraz nauki.

Srodki finansowe Związku stanowią finansowe zabezpieczenie planu pracy i powinny służyć realizacji konkretnych celów i zadań, dlatego też na plenum przedstawiony został ramowy projekt budżetu ZG na rok 1984. Budżet ZNP przewidujący wstępne wielkość dochodów i wydatków został przez Plenum przyjęty.

W dyskusji, jaka rozwinęła się po wystąpieniach referentów, postulowano uzupełnienie planu pracy o takie m. in. tematy, jak omówienie sytuacji materialnej emerytów, tematu etyki i jakości pracy nauczyciela; poza tym przyspieszenia działań dla zapewnienia prawidłowego wdrożenia z dniem 1 września zasad porównywania średniej płacy nauczycieli z płacami pracowników inżynieryjno-technicznych zatrudnionych w przemyśle społecznym.

Zarząd Główny ZNP zobowiązał Prezydium do dokonania uzupełnień i poprawek w planie pracy zgodnie z postulatami zgłoszonymi w czasie dyskusji, a wszystkie ogniska, oddziały i okręgi oraz wydziały ZG do opracowania szczegółowych planów działania.

Na plenum przedstawiono kilka projektów dokumentów. Przyjęty został regulamin sądów koleżeńskich, regulamin wypłat zasiłków statutowych, przyjęto również zaproponowane zasady systemu preferencji dla członków Związku w korzystaniu z majątku ZNP.

Jednym z najważniejszych dokumentów omawianych na plenum był projekt porozumienia ZG ZNP z MOiW. Został on przyjęty i po konsultacji międzyresortowej oraz akceptacji sejmowej Komisji Oświaty i Wychowania porozumienie zostanie podpisane. Dokument ten opublikujemy w całości.

W czasie dyskusji obok spraw, którym poświęcone było to posiedzenie Zarządu Głównego, poruszono wiele innych nurtujących środowisko nauczycieli — związkowców. Taką bombą, która na długo zakłóciła porządek obrad, stała się zamieszczona w dzienniku rządowym „Rzeczpospolita” informacja o nowelizacji Karty Nauczyciela. Kolejny zaplanowany zamach na Kartę wywołał oburzenie wśród członków Związku, którzy zobowiązali mandatariuszy do wyjaśnienia tej sprawy. Ci z kolei zobowiązali Prezydium ZG do szybkiego opracowania wystąpienia w kwestii nowelizacji Karty do marszałka Sejmu.

Podobnie bulwersująca jest sprawa odznaczeń dla wyróżniających się nauczycieli, którzy przeprowadzali w zawodzie długie lata. Konieczność hospitalowania ich lekci przez specjalnie do tego celu powołany zespół opiniujący wywołuje wiele nieporozumień, zastrzeżeń w środowisku i zle służy sprawie. Zaś wnioski o odznaczenia nauczycieli przedstawiane są Związkowi do zaspokojenia przeważnie na pięć minut przed ich wysłaniem, gdy nie ma już czasu na rzetelną konsultację.

Uczestnicząca w obradach wiceminister oświaty i wychowania Wiesława Król przedstawiła poczynania resortu, wyjaśniła „od reki” niektóre podjęte problemy, zdemontowała krążące w środowisku plotki o wstrzymywaniu dodatkowych awansów czy gotowej tabeli plac.

Na tym drugim po Zjeździe posiedzeniu Zarządu Głównego ZNP poruszono wiele spraw ważnych i o mniejszej wadze. Do niektórych z nich będziemy powracać w osobnych publikacjach. (HAS)

12. Wniosek rozpatruje i podejmuje protokołowaną decyzję Prezydium Zarządu Oddziału ZNP, co uwidacznia się podpisami członków Prezydium na wniosku.

13. Wypłata zasiłku statutowego następuje w kasie Zarządu Oddziału ZNP i potwierdzona zostaje w legitymacji związkowej wnioskodawcy.

V Tryb odwoławczy i inne postanowienia

14. W razie odmowy przyznania zasiłku statutowego wnioskodawcy przysługuje prawo odwołania do Zarządu Okręgu właściwego terenowo dla jego oddziału ZNP i ostatecznie do Zarządu Głównego ZNP.

15. Osoby podejmujące decyzje w sprawie przyznania zasiłku statutowego bez wystarczających dowodów i niezgodnie z tym regulaminem ponoszą materialną odpowiedzialność za ich wypłacenie.

16. Regulamin wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1984 roku. Postanowienie jego stosuje się do przypadków urodzin i zgonów, które nastąpiły po tej dacie.

17. Interpretacja przepisów niniejszego regulaminu należy do ZG ZNP.

● Fundusz socjalny

● Inwestycje czasowe

● Działalność klubowa

● Dopłaty do skierowań

● Ochrona zdrowia

● Mieszkania

PREZYDIUM ZG ZNP

Fundusz socjalny, a ściślej plan zagospodarowania tego funduszu, to jeden z tematów posiedzenia Prezydium ZG ZNP, które obradowało 20 grudnia. Omawiano również — i podjęto decyzje — sprawy wewnątrzwiązkowe, jak np. szkolenie aktywów, organizowane w Jachrance w okresie tegorocznych ferii zimowych. W szkoleniu tym weźmie udział 400 osób z wszystkich regionów kraju. Jest to reakcja na postulaty związkowców zgłaszane z różnych środowisk w trakcie spotkań z członkami kierownictwa ZG ZNP. Wśród działaczy związkowych jest obecnie wielu ludzi nie mających żadnego doświadczenia w pracy związkowej, oni głównie mogą wynieść z tego typu spotkań wiele korzyści. I tego nie trzeba głębiej uzasadniać.

Przedmiotem dłuższej refleksji były zaprezentowane przez przedstawicieli Ministerstwa Oświaty i Wychowania zasady podziału scentralizowanego funduszu socjalnego na rok 1984.

Generalnie zasady proponowanego przez resort podziału są prawidłowe, choć nie brak pozycji, co do których można by mieć wątpliwości. W projekcie największe kwoty funduszu kierowane są na wypoczynek i lecnicztwo pracowników oświaty i wychowania. Dużą część, bo aż 133,5 mln pochłona w 1984 r. wydatki na rozbudowę bazy czasowo-lecniczej, a konkretnie 6 ośrodków: w Kąkch Rybackich, Sopocie, Debkach, Ciechocinku, Ogónkach i Kołobrzegu. Interesujące zwłaszcza są dwie inwestycje — w Sopocie i Ciechocinku. Pierwsza dotyczy szansy jedynie — uzyskania pieknego obiektu (w który, oczywiście, trzeba zainwestować), tuż nad morzem, z wyjściem na plażę. Takiego obiektu nauczyciele w Trójmieście dotychczas nie mieli i zmuszeni byli wypoczywać na wczasach sezonowych, czyli w szkołach. Drugi ciekawy obiekt — to Ciechocinek; powstanie tu pawilon, co pozwoli znacznie zwiększyć liczbę osób korzystających z leczenia w sanatorium związkowym.

Wątpliwości członków Prezydium ZG ZNP budzi natomiast plan wydatków na działalność kulturalno-oświatową i turystyczno-sportową. Przeznaczono na ten cel 22,5 mln zł z funduszu socjalnego. Wyrażano wątpliwości, czy suma ta wystarczy na „rozkręcenie” zwłaszcza działalności kulturalnej. Zdaniem kol. Jana Zaciury — zbyt skromna jest suma przeznaczona na pomoc materialną najbardziej potrzebującym klubom nauczycielskim, zespołom artystycznym i grupom twórczym. Po okresie stażu w działalności kulturalnej, kiedy Związek nie działał — powiedział J. Zaciura — wszystkie kluby potrzebują wsparcia, bo wszystkie mają trudności. W niektórych istnieje zagrożenie utraty etatów kierowników, bo kuratorzy twierdzą, że muszą te etaty zabrać na inne cele. Należałoby zatem rozstrzygnąć te sprawy — z korzyścią dla ogółu pracowników zatrudnionych w oświacie. Nie jest to jednak sprawa łatwa, bowiem wydzielonych etatów na prowadzenie działalności klubowej nie ma, po prostu — pracują tam nauczyciele. Zdania się więc, że nauczyciela tego chce się

z powrotem przenieść do szkoły, bo tam jest potrzebny. Obecny na posiedzeniu prezydium dyrektor Departamentu Kadr i Spraw Socjalnych MOiW Wiesław Kulmiński przyrzekł jednak, iż resort nie dopuści, aby którykolwiek klub został pozbawiony kierownika, a przez to zawieszono działalność.

Z innych spraw budzących wątpliwości — należy wymienić kwoty dopłat do skierowań czasowych. Są one zbyt niskie — mówiono — aby rodziny, zwłaszcza mniej zamożne — pozwoliły sobie na wyjazd na wczasy.

Prezident ministerstwa zdał relację z tego, jak resort oświaty zamierza rozwiązywać w 1984 roku, sprawy socjalno-bytowe pracowników. A więc, poza wspomnianym już organizowaniem wypoczynku i lecnicztwa, na plan pierwszy w programie resortowym wsunęło ochronę zdrowia nauczycieli oraz problematykę mieszkaniową. Obecnie przeprowadzane są badania stanu zdrowia pedagogów, wyniki posłużą do bliższego określenia form działalności profilaktycznej. W tej chwili resort zabiega o rozbudowę i rozszerzenie zasięgu działania nauczycielskich poradni specjalistycznych. Ale nawet przy sprawnej ich pracy, nie rozwiąże to problemów zdrowotnych środowiska. W trudnej wciąż sytuacji są nauczyciele pracujący na wsi, skazani na leczenie wyłącznie w internistach, pozbawieni możliwości przeprowadzenia szybkich badań itp. Sugerowano w dyskusji, aby umożliwić tym nauczycielom wizyty u lekarza w dniu dla nich wydzienionym.

Zapewnienie nauczycielom mieszkań to także problem przede wszystkim wsi i małych miast. W tej dziedzinie konieczne są wspólne działania resortu i Związku. Latwiej będzie wówczas skłonić terenowe władze administracyjne — odpowiedzialne za stan w tej dziedzinie do aktywności w zapewnieniu nauczycielom mieszkań.

Sprawy dyskutowane na posiedzeniu prezydium będą przedmiotem zainteresowania Związku przez cały rok, nie raz też poszczególne problemy trafią do porządku dziennego obrad plenum, komisji związkowych, narad i spotkań. Każdy bowiem wymaga szczegółowych rozstrzygnięć. W czasie obrad prezydium stwierdzono tylko, iż główne punkty programu socjalnego resortu sprzeczowane są prawidłowo. Oby były zgodnie z planem realizowane.

Na każdym spotkaniu związkowym, i w terenie, i w centrali — problemem numer jeden, niezależnie od takiej czy innej tematyki obrad, są sprawy placowe pracowników nie będących nauczycielami. I resortowi, i Związkowi zależy bardzo na przyspieszeniu zapowiadanych regulacji plac; mówiono o tym wiele również na posiedzeniu prezydium. Resort opracował i wysłał do akceptacji Prezydium Rządu projekt regulacji plac. Związek swoje w tej sprawie stanowisko oparł na wniosku, by decyzje placowe wobec tej grupy zatrudnionych zostały przyspieszone. Obaj partnerzy żywią nadzieję, że przedstawione przez ZNP argumenty zostaną wzięte pod uwagę. Chodzi przecież o utrzymanie w szkołach kadry, której zarobki są zaniżone, a bez której szkoły pracować nie mogą.

W obradach prezydium udział wzięli: zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — Władysław Kata, dyrektor Departamentu Kadr i Spraw Socjalnych MOiW — Wiesław Kulmiński, wicedyrektor tegoż departamentu — Mieczysław Chmielewski oraz radca prawny — Kazimierz Reszke. (MAB).

MOJE CZTERY ZJAZDY

Cztery kolejne Krajowe Zjazdy Delegatów ZNP, wyznaczające krótką, bo tylko siedmioletnią, drogę w długiej siedemdziesięcioletniej historii Związku, z którym uprawiany zawód związał mnie trzydzieści lat temu.

Na pierwszy swój Zjazd, w październiku 1976 r., jechałem z mandatem delegata sanockiej organizacji związkowej. Przeżywałem wówczas debiutancką treść, chociaż zaszczyt ten spotkał mnie stosunkowo późno, bo w czterdziestym roku życia. Zdziwił mnie rozmach Zjazdu, ośmiemlecia imponujące, zajmujące ogromną scenę sali zjazdowej prezydium, w którym aż roiło się od znanych osobistości.

Jak każdy nowicjusz, bacznie obserwowałem to, co działo się na sali zjazdowej i w jej kuluarach, a jeszcze uważniej słuchałem. Nie wszystko przyjmowano bez zmnurzenia oka, nie wszystko przechodziło jednogłośnie. Parę polemicznych wystąpień w sprawach proceduralnych „utrudniło” nieco życie przewodniczącym obrad. W moim przekonaniu, w przekonaniu debiutanta z odległych krańców Rzeczypospolitej, był to wyraźny dowód, iż nie wszystko w tym Związku utonąło w oceanie jednogłośnie, że uzewnętrznili się iskieliterzy, co drzemalo w nas. Związek zachowywał w ten sposób swoją dawną twarz, i jako jeden z nielicznych sygnalizował konieczność uszanowania demokracji.

Taki był nasz Związek nawet w najtrudniejszych latach — w latach pozornej jednogłośnie, w okresie marazmu i poczucia krzywdy. Wyrazem tej krzywdy był niski status materialno-społeczny nauczycieli, a efektem — ucieczki z zawodu wielu dobrych pedagogów, omijanie uczelni pedagogicznych przez zdolnych młodych ludzi, którzy liczyli na lepsze warunki w innych profesjach. Ci, którzy pozostali w tym zawodzie, mieli poczucie krzywdy społecznej. Pisał o tym późniejszy i obecny prezes ZG ZNP — kol. K. Piłat: „Duże pieniądze, kariera, prestiż społeczny, zagraniżone wożące, a więc podstawowe wyróżniki w stylu epoki — to wszystko znajdowało się poza szkolnym budynkiem” *).

Potem był Ogólnopolski Kongres Pedagogiczny Nauczycieli i słynne spotkanie grupy uczestników z E. Gierkiem, gdzie postawa ówczesnego prezesa ZNP jeszcze bardziej pogłębiła mój związkowy patriotyzm.

Będąc członkiem ZG ZNP — wybranym na XII Zjeździe — mogłem uczestniczyć 12 września 1980 r. w niezwykle ważnym plenarnym posiedzeniu „starego” zarządu, kiedy to podjęto skuteczną próbę wprowadzenia Związku na drogę odnowy i walki o jego niezależność i samorządność. Symptomaticz nadchodzących zmian było wypowiedziane ZNP ze struktury CRZZ. Za przykładem nauczycieli poszły wkrótce inne związki zawodowe.

Duch tamtego wrześniowego plenum ożył pod koniec ostatniego Zjazdu podczas dyskusji nad sformułowaniami zawartymi w projekcie deklaracji ideowo-programowej ZNP. W jednym z jej sformułowań niektórzy delegaci wyczuwali mgliste widmo tego, co rozpadło się jesienią 1980 r. Czy mieli rację? Trudno mi to stwierdzić, chociaż sam w tym momencie dostawałem „sejśję skórki”. W moim przekonaniu data 12 września 1980 r. była datą wielkich związkowych nadziei.

14 października 1980 r. — to mój drugi a XXXI w historii Związku — Krajowy Zjazd Delegatów ZNP. Wrześniowe plenum usiłowało nadać mu charakter zjazdu nadzwyczajnego. Wybrano na tym Zjeździe nowe władze Związku, uchwalono demokratyczny statut i program na miarę potrzeb i aspiracji środowiska. To burzliwe forum uświadomiło mi fakt rozbitcia

organizacyjnej jednostki środowiska i Związku. Do dzisiaj brzmią mi w uszach słowa: — „My nie jesteśmy inni ludzie — my jesteśmy Polacy...”. Tak zapewniał z trybuny zjazdowej przedstawiciel tych, którzy zdążyli już odejść z naszych szeregow. Słuchałem tych słów w skupieniu. Usiłowałem dostrzec w nich zbieżność naszych celów i zadań z tym, co prezentowało w swym wystąpieniu krakowski emisariusz nowego wówczas Związku. W kotłowniku emocji, w ogniu polemicznych starć i twardej walki o jedność ZNP faktem stawała się dezintegracja środowiska oświatowo-naukowego. Jednak bez względu na ten fakt — data XXXI Zjazdu ZNP pozostała w mej świadomości datą wiary w lepszą przyszłość naszego Związku, polskiej oświaty i całego kraju.

Kwiecień i czerwiec 1981 r. — mój trzeci — dwurzędowy XXXII Zjazd Delegatów ZNP, który po najkrótszej w dziejach Związku kadencji wniósł poprawki do statutu i programu, przeprowadził wybory władz i podjął zdecydowaną walkę o Kartę Nauczyciela oraz status prawny pracownika oświaty nie będącego nauczycielem. Określenie „zdecydowana walka” brzmi zupełnie obiektywnie i odzwierciedla faktyczny stan tamtych związkowych miesięcy, tygodni i dni. Nie boję się więc zarzykować stwierdzenia, że miesiące od kwietnia do grudnia 1981 r. (okres po XXXII Zjeździe) były miesiącami walki naszego Związku o żywotne interesy całego środowiska oświatowego.

Mój czwarty Zjazd, którego przebieg mam na świeżo w pamięci, dostarczył mi, choć uczestniczyłem w nim bez mandatu delegata, również wielu niezapomnianych wrażeń, pobudzał do głębszych refleksji. Sam fakt, że obradowałem niemal w pierwszej rocznicę wejścia w życie nowej ustawy o związkach zawodowych, świadczy, w moim przekonaniu, o prężności organizacyjnej naszego, tak bardzo przecięż rozproszanego środowiska. Wbrew niepowodzeniom i obawom, okazało się, iż wiele jest ludzi w oświacie, którzy doceniają potrzebę istnienia związku w ogóle, a ZNP w szczególności. Ludzie ci — nie licząc na osobiste profity — oddają Związkowi swoją składkę w przekonaniu, iż służyć ona będzie całemu środowisku, ciesząc się z tego, że ich Związek wrócił na krajową i międzynarodową arenę, by odgrywać tam nadal znaczącą rolę. W zadziwiająco krótkim okresie — z uporem i godnością — ustawialiśmy drabinę związkowej struktury po to, by na Zjeździe wmontować jej ostatni — niezwykle ważny — centralny szczebel. Dotkliwy brak tego szczebla odczuwaliśmy przez wiele miesięcy.

Natychmiastowe uzewnętrznienie pierwszej uchwały Zjazdu, która uczyniła go XXXIII w 78-letniej historii Związku, mogło „rozkleić” i „rozkleić” najbardziej odporne konstrukcje psychiczne. A aplauz i owacje pod adresem kolegi prezesa dowodzą, iż, gdy zachodzi potrzeba, potrafimy być jednogłośni — w pełni obiektywni — oddając ludziom to, co im się należy za ich pracę i zaangażowanie. Ten końcowy akord pierwszego dnia obrad pozostał w mej pamięci jako efekt zblorowego, nauczycielskiego obywatelstwa.

W zakresie troski o wysoką pozycję społeczną i rangę naszego zawodu — Zjazd ten próbował nakreślić kontury pewnej współzależności, którą sformułowaliśmy w sposób następujący. Czynniki decydujące o statusie materialnym nauczyciela winny pamiętać o tym, iż biednemu nauczycielowi niezwykle trudno zdobyć wysoki autorytet w społeczeństwie i skutecznie wpływać na proces wychowania młodzieży. Zaś sam nauczyciel musi mieć świadomość tego, że nie tylko zawartość portfela jest kluczem do uznania społecznego i wysokiego autorytetu, lecz głównie wiedza, umiejętności zawodowe i postawa etycznie-moralna.

O tym klasycznym — sprzeczniu prawdy — zdają się zapominać niekiedy obydwie tak wielce uzależnione od siebie strony.

TOMASZ BLECHARCZYK
Sanok

* K. Piłat: Nowa Karta Nauczyciela, „Nauczyciel i Wychowanie” 1982, nr 3, str. 82-83.

służby społeczne. Egoizmowi dorabiającego się małżeństwa przeciwstawił Gmeiner altruizm samotnej kobiety spełniającej wobec dzieci misję dobrego, szlachetnego i niezawodnego opiekuna. Niewątpliwie popularyzacji idei Gmeinera również sprzyjał — w sposób niezamierzony — ruch feministyczny.

Te wszystkie okoliczności sprawiły, że austriackie wioski dziecięce rozrosły się na całym świecie nadspodziewanie szybko. W tej chwili liczba ich przekroczyła 200. Znajdują się na wszystkich kontynentach — od Pakistanu po Chile. W samej Austrii takich wiosek jest już 9. A u nas? Czy można przyjąć tezę, że skoro gdzie indziej koncepcja się przyjęła, to i u nas się przyjmie? Czy jest to argument wystarczający? Właśnie. Czy austriacka wioska trafia w Polsce na odpowiedni grunt kulturowy, obyczajowy, pedagogiczny? Niesety, są to pytania w tej chwili retoryczne. Nie mamy konkurencyjnego wyboru. Jedyne stanowisko obecnie do przyjęcia to rola życzliwych obserwatorów. Tym bardziej że dziewięć kobiet, niczym samotne żeglarki, wystartowało odważnie do wielkiej podróży w nieznane.

No właśnie. Czy takie się znajdują w naszym kraju — wątpiono na początku. Znalazły się.

Wybieranie kandydatek na matki i ciocie

to proces niezwykle skomplikowany, kosztowny i kłopotliwy organizacyjnie. Po nawiązaniu kontaktu korespondencyjnego, komisja wysyła kandydatkom ankiety. Wiele kobiet ankiet nie odsyła, rezygnując już na tym etapie. Potem odbywają się rozmowy z tymi, które ankiety nadesłały — najpierw w Zamościu, później w miejscu zamieszkania. Wywiady środowiskowe, rozmowy z rodzicami, krewnymi, rodzeństwem mają istotne, niekiedy decydujące znaczenie.

Następny etap, jaki przeszła już selekcjonowana grupa kandydatek, to dzie-



Fot. M. Suchecki

CZY ZDA EGZAMIN?

ścielotygodniowy kurs pedagogiczny, stacjonarny, połączony z praktyką w domu małego dziecka w Łabuniach pod Zamościem. Szkolenie to, to odpowiednik rocznego kursu pedagogicznego ODN, ale zmodyfikowanego. Uwzględniono w nim takie przedmioty i zagadnienia, jak wychowanie plastyczne, muzyczne, organizacja wolnego czasu, wychowanie obywatelskie, higiena i zdrowie, zasady racjonalnego żywienia.

Potem kandydatki na matki i ciocie udały się na kolonię dla osieroconych dzieci w Szklarskiej Porębie (od 16 lipca do 12 sierpnia 1983 roku). Panie pełniły rolę asystentek wychowawczyń. Uczestniczyły we wszystkich zajęciach, zabawach, posiłkach, praniu, myciu, układaniu dzieci do snu. Żeby poznać wszystkie dzieci, zmieniały grupy. I w ten sposób, na zasadzie doboru naturalnego, czyli kto do kogo przylgnął, rodziny bilgorajskie się skompletowały. W czasie kolonii, czyli tuż przed metą, wycofały się dwie kobiety. Jedna kandydowała na matkę, druga na ciocię, tak że w tej chwili cioc nie ma, co jest trochę niepokojące. Decyzję tych pań wysoko ocenił Józef Wołoszyn z Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Bilgoraju. — Gorzej by było, gdyby się wycofały po przyjeździe do wioski, zostawiając gromadkę dzieci na lodzie — stwierdził.

Józef Wołoszyn przebywał na kolonii w Szklarskiej Porębie pełniąc tam ważną rolę. To właśnie jemu przypadło zadanie przeprowadzenia badań pedagogicznych, rozpoznania stopnia wiedzy i umiejętności szkolnych dzieci, wykrycia ewentualnych zaburzeń rozwojowych, na przykład takich jak dysleksja, dysgrafia, niedorozwój. Ale nie tylko o diagnozę chodziło. Józef Wołoszyn opracował także dla każdego dziecka program pracy korekcyjno-wyrównawczej. Oczywiście wrócił do Bilgoraja jako pracownik wioski dziecięcej (na pół etatu) i jako... „wujek” wioskowej gromadki.

Każde z dzieci to oddzielny dramat

mówi bilgorajski pedagog. Są i skrajne przypadki powikłań życiowych, jak na przykład los dwójki małych mieszkańców wioski, którzy pewnego dnia zostali po prostu wyrzuceni z „ich” poprzedniego do-

mu dlatego, że przybrany rodzicom po urodzeniu się własnego, długo oczekiwanego dziecka, już nie w smak była adopcja. Właśnie pamięć o poprzednich rodzicach niekiedy bardzo utrudniała matkom pracę wychowawczą. Na początku były nawet szantażowane. „Nie krzycz na mnie, bo napiszę do mojej mamy”.

Prawie wszystkie dzieci są opóźnione w nauce. Powód? Częste zmiany pobytu, pogotowie opiekuńcze, dom dziecka, rodzina zastępcza, znów pogotowie itd. — to przystanki życiowe wielu dzieci. — Ale najgorsze jest to — zauważa Józef Wołoszyn — że rozwój psychiczny i emocjonalny tych maluchów odbywał się bez odpowiedniej stymulacji. Również została zakłócona ich sfera motywacji. W normalnych rodzinach małe dzieci uczą się, bo chcą sprawić radość tacie, mamie; w życiu tych maluchów nikt nie interesował się ich postępami w nauce ani też nie dzielił ich dziecięcych radości. Więc praca matek i pedagoga polega teraz na rozwijaniu systemu słuchowo-wzrokowego, sprawności manualnych, wzbogacaniu słownictwa i, przede wszystkim, na nawiązywaniu więzi emocjonalnych. To już chyba się udało. Nikt dzieciom nie narzucał, jak mają się zwracać do swoich matek: per ciociu, pani, czy mamu. Jednak po 4 miesiącach wszystkie przeszły na mamu.

Józef Wołoszyn prowadzi zajęcia korekcyjno-wyrównawcze dla dziesięciorga dzieci i już po kilku tygodniach zauważył pierwsze symptomy zjawisk nader pozytywnych. Oto dzieci zaczynają nalegać na wystawianie ocen w zeszytach. „Aby mama mogła zobaczyć, jak się uczę”. Maluchy uczą się powoli przeżywania i demonstrowania uczuć. Na przykład taki drobniaczek: dziecko dostało nowe buty; teraz to nawet z nogi ściągnie, żeby pokazać, jaki jest w środku. Oto 9-letnia Agnieszka lubi rysować swoją nową mamę, jak zbiera kwiaty. Obrazki są bardzo kolorowe, wesołe, dużo na nich słońca. Stan psychiczny dziewczynki jest łatwy do odszyfrowania. 4-letnia Basia jeszcze przez pierwsze dwa miesiące cierpiała na chorobę sierocą. Objawy już ustąpiły. Dzisiaj Basia wypełnia dom radością, śmiechem, krzątaniem, dziecięcym szczebiotem przerywanym od czasu do czasu ważnym wyznaniem: „mamo, ja cię lubię”.

Oczywiście, są to pierwsze oznaki odradzania się normalnych reakcji w dzieciach, których los był już przesądzony. Ale do pełnego sukcesu jeszcze daleko. Newral-

giczny punkt to zakończenie roku szkolnego. Kazimierz Kielar, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 4 w Bilgoraju, do której uczęszczają dzieci z wioski, w sumie 21 — już teraz zastanawia się co znowić, aby przy promowaniu nie popełnić błędu. Dlatego w ostatnich tygodniach przed zakończeniem roku szkolnego wszystkie dzieci „wioskowe” będą jeszcze raz zbadane przez poradnię wychowawczo-zawodową. — Nie chodzi tu o zepchnięcie odpowiedzialności — zaznacza dyrektor Kielar — lecz o maksymalne zobiektywizowanie decyzji o promocji, wykluczającej pomyłkę. Musimy mieć też na uwadze poczucie sprawiedliwości pozostałych dzieci.

Matki od samego początku wzbudzały, jak to w naszym społeczeństwie, sensację, często niezdrową. Unikają dziennikarzy. To zrozumiałe. Pani Helena, była nauczycielka, jednak zaprasza przedstawiciela „Głosu Nauczycielskiego” na herbatę. Jako magister fizyki próbowała także kariery naukowej. Na razie ocenia ideę wioski dziecięcej pozytywnie.

od otoczenia żąda tylko jednego — uszanowania autonomii jej domu

Fragnie być polską, zwykłą, wystającą w kolejce kobietą z siatką. Jeśli już miałaby coś skrytykować, to tylko projektanta domu, który — nie wiedząc czemu — poświęcił tak olbrzymią kubaturę na część haliowo-korytarzową, że na pokoje dla dzieci zostało już mało miejsca. Dwaj synowie, 9- i 10-letni, mieszkają razem w pokoiku, do którego po prostu trudno wejść. Albo to okienko w klatce schodowej; umieszczone jest tak wysoko, że nawet z drabiny trudno je osiągnąć.

Ale są to drobniaczki. Najważniejsze, że znalazła w Bilgoraju idealne miejsce do realizowania swoich aspiracji życiowych — Przyszedłam tu — wyznaje pani Helena — bo nie chciałam zmarnować życia. Dożyłam trzydziestki i bilans nie wypadł okazale. Lata jakoś szybko przeciekleły między palcami. Bilgoraj oznacza dla mnie odzyskanie poczucia sensu tego, co robię. Wiem teraz, że życia nie zmarnuję, bo tutaj widzę jego wielkość na każdym kroku, w każdym geście, słowie, a przede wszystkim w tym, co nie da się ani zwerbalizować, ani przedstawić w jakikolwiek inny sposób. Nigdy, na przykład, nie za-

pomnę, gdy moi dwaj synowie zaczęli do mnie zwracać się „mamo”. Szukałam poczucia spełnienia i tu go znalazłam. Już teraz dom ten dał mi dużo. Odkryłam prawdę oczywistą, banalną, ale głęboką, jeśli ją samemu się odkrywa: „największą radością jest dawanie radości”.

Pani Helena twierdzi, że na jej decyzję przyjazdu do Bilgoraja pośredni wpływ wywarli przyjaciele, którzy swoją postawą wniosli do jej życia ład, właśnie ten ład, który kazał na przykład bohaterom filmu „Struktura kryształu” uciec na wieś w poszukiwaniu wartości dawno przez zmaterializowany świat zagubionych.

Pani Helena jest pełna nadziei. Natomiast dyrektor wioski dziecięcej, Józef Cap, skrzydeł rozwinąć na razie nie może. Nie chodzi o ten nieszczęsny statut. — Nie mogę matkom i dzieciom poświęcić wiele czasu — mówi dyrektor. — Absorbuję mnie usuwanie usterek. W czasie eksploatacji wylażą one jak grzyby po deszczu. Chodzi głównie o urządzenia sanitarno-hydrauliczne. Więc ściągam wykonawców, aby naprawiali swoją partanię. I kotłownia jest wadliwa. Trzeba ją zmodernizować. Łączy się to z koniecznością podwyższenia komina. W tej chwili grzejniki centralnego ogrzewania nie grzeją tak jak powinny, w domkach chłodno.

Wkrótce rozpocznie działalność budynek socjalny, a w nim przede wszystkim kółka zainteresowań. Jakże — to będzie zależało od matek, które w tej chwili odkrywają predyspozycje u swoich dzieci. Do prowadzenia kółek dyrektor Cap zamierza zatrudnić wyłącznie mężczyzn. Zaplanowano także otwarcie 4-godzinnego przedszkola, gabinetu lekarskiego i stomatologicznego, niewielkiej stołówki dla personelu i cioc (matki, jak w każdym normalnym domu, przygotowują posiłki same) oraz centralnej pralni. Czynny już jest, od 6 do 8 rano, sklep spożywczy.

Ale warunki socjalne to nie wszystko. Ważny jest klimat społeczny. Jego tworzeniem zajmuje się Towarzystwo Przyjaciół Wioski Dziecięcej SOS w Bilgoraju, członkiem Kindersdorf Internationale SOS. Towarzystwo zajmuje się zjednywaniem zwolenników, gromadzeniem funduszy na wydatki pozainwestycyjne, czuwaniem nad właściwym funkcjonowaniem wioski. Sekretarz towarzystwa, Czesław Dycha mówi: — Oczywiście w pracę matek ingerować nie będziemy, tylko w sytuacjach wywołujących niepokój społeczny. W przyszłości zadanie nasze będzie polegało również na zachęcaniu zakładów pracy do fundowania dla wychowanków wioski książeczek mieszkaniowych.

Wizyta w wiosce dziecięcej na etapie jej startu rodzi pytanie: czy koncepcja rodzinnych wychowujących, ale niekompletnej w naszych warunkach zda egzamin? Wszystko jednak zależy od ludzi. Te dziewięć kobiet, które w czasach, gdy z powodu paczki herbaty gotowi byłibyśmy wydłubać innym oko, zdecydowały się poświęcić życie dla innych — budzi mój szczerzy podziw i szacunek.

WITOLD SALAŃSKI

PIERWSZE DNI PIERWSZE TYGODNIE

Tak brzmiało hasło naszego konkursu adresowanego do młodych nauczycieli. Był on zaproszeniem do szerszego wypowiedzenia się o początkach pracy zawodowej, pierwszych zwycięstwach i rozczarowaniach o próbach przełamania trudności i własnych słabości. Odpowiedzi na konkursowe hasło nie był może zbyt szeroki, ale te prace, które wpłynęły, dostarczają interesującego materiału na temat startu młodych pedagogów.

Wszyscy bardzo mocno przeżywają pierwszy kontakt ze szkołą, z gronem pedagogicznym, z młodzieżą. Pierwsza lekcja, pierwsze zajęcia w przedszkolu, ośrodku wychowawczym to próba najtrudniejsza — po tej próbie albo się stwierdza, że praca nauczycielska to „nie straszne, trudne”, albo przeciwnie — teraz dopiero młody nauczyciel wie, z jakim ogromem trudności ma do czynienia.

Zapewne dzieje się tak dlatego, że młodzi nie znają miejsca przyszłej pracy, szkoła i własna w niej rola — to jedna wielka niewiadoma. Do momentu pierwszej lekcji — żyją w świecie wyobraźni i do nich przymierzają swój zawodowy start. I stwierdzają, że w rzeczywistości wszystko jest bardziej szare i zwyczajne, poza jednym, wychowankami.

Kontakt z nimi — to ta najprzyjemniejsza część zawodowej przygody. U niektórych oczarowanie. Zaś u wszystkich — od-

krywanie oczywistych prawd o dziecku. Oczywistych dla tych, którzy posiadają wiedzę psychologiczną i zetknęli się z dziećmi. Wśród absolwentów szkół wyższych takich przypadków w ogóle nie ma. Wprawdzie wspominają o praktykach, ale z tych praktyk wynieśli tak niewiele, że i pamięć jest zawodna. Niczego wówczas nie przeżyli, nie doświadczyli niejako „na własnej skórze” i na własną odpowiedzialność.

Stąd tyle zachwytów nad uczniami, tyle miłych doznań, codzienne odkrywanie tajemnic, z którymi wcześniej nikt kandydatów na nauczycieli nie zapoznał.

Niezależnie jednak od przyczyn — dobrze, iż młodzi odkrywają zawód i wiążą się z nim poprzez swoich wychowanków. Dzięki temu szybciej udaje się pokonać liczne trudności natury organizacyjnej i metodycznej. Młodzi pragną zrozumieć dzieci, znać ich potrzeby i pragnienia, aby następnie je spełniać. Intuicja czyni cuda — przez miłość do dziecka, chęć odczytania jego zyczeń — młodzi potrafią nieźle radzić sobie z nauczaniem i wychowaniem. Trochę po omacku, ale jednak znajdują atrakcyjne metody. Im się po prostu chce coś ciekawie, mądrze rozwiązać i tak bardzo zależy im na tym, aby uczniowie byli zadowoleni, aby dobrze się czuli w klasie, w grupie.

Tę wrażliwość można młodym pozazdrościć. A prawdę mówiąc — należałoby

w tym docieklwym, serdecznym stosunku do dzieci ich naśladować. Ten apel kierujemy do doświadczonych grona nauczycieli rutynowanych, tyle że nie zawsze skłonnych do tej tkliwej sympatii do ucznia, jaką prezentują młodzi. Kto wie, kto w tej sytuacji osiąga lepsze rezultaty? Być może właśnie młodzi?

Nie są aż tak bezradni, jak jeszcze przed kilku laty. A najważniejsze: wielu z nich chce wnieść coś nowego do szkoły, do pracy z młodzieżą. Są zdziwieni, że po powrocie do swojej dawnej szkoły (byli jej uczniami) — wszystko jest w niej jak przed laty, nawet ta sama, nie zmieniona gazetka ścienna. Te same szpary w oknach i te same, nieciekawe metody pracy. Ta sama nuda. Nie należy tej krytyki lekceważyć: to część prawdy o szkole, która często dąży do miejsca, nie nadąża za postępem. W działaniu i w myśleniu. Więc młodzi próbują ten stan zmienić — organizują pokazowe pracownie, a także zabawy, wieczory dobrej muzyki (z płyt), bale maskowe; wyżywają się w harcerstwie — razem z uczniami. Wykonują pomoce naukowe, kleją, malują, bawią się. Starszych zmuszają do dyskusji, wspólnie idą do kina, na wycieczkę.

I są za to uwielbiani przez uczniów. Za to zainteresowanie grona jest niestety, jak z prac wynika, nader skromne. Więcej zainteresowania wykazuje dyrektor, ale on jest raczej nieuchwytny. Dobrze, gdy pomoże w zgromadzeniu pomocy, pozwoli zorganizować wieczór zabaw i... nie przeszkadza. Rzadko, bardzo rzadko docenia się te innowacje młodych, ocenie podlegają lekcje. Jeśli się odbywają, jeśli

nauczyciel nie choruje i nie trzeba organizować zastępstw — wszystko w porządku. Młody ma szansę na pochwałę. Nic więcej nie musi robić. Tylko może, jeśli chce.

Nie znaczy to, że nie pomaga się młodym. Są hospitowani, najczęściej przez kogoś z kierownictwa. Dyrektor interesuje się początkującym na tyle, że pyta, jak mu idzie, czy nie ma jakichś trudności? Jeśli są — wyznaczy kogoś z grona do pomocy, zwykle jednorazowej.

Młodzi muszą więc radzić sobie sami. Nie narzekają na to, ale widać, jak trudne są te początki. Niestety, nie ma w szkole zorganizowanej formy pomocy stałej przez pierwszy chociażby rok pracy. Potrzebna jest — prace tego dowodzą — instytucja mentora, nauczyciela doświadczonego a życzliwego wychowawcy, który ten start by czynił udanym. Czas najwyższy, aby władze oświatowe rozwiązały ten problem. Mają przecież świadomość, że otrzymują z uczelni produkt teoretycznej koncepcji kształcenia. I trzeba z tym coś zrobić!

Bo tak naprawdę — młodzi wnoszą do szkół wartości niezwykle cenne: wrażliwość, świeżość spojrzenia i entuzjazm, chęć pokonywania trudności, chęć tworzenia, a także niecierpliwość, krytycyzm. Wartości, których niewiele w tzw. zasiedziały, często znudzonych sobą i pracą gronach. Zastanówmy się więc, jak te „młode”, zdrowe ambicje spożytkować? Młodym nie tylko trzeba pomóc. Od nich także można się uczyć.

MARIA RYBARCZYK

LEKCJA ŻYCIA I PRACY

„Sukces wieńczy dzieło” — brzmią słowa sentencji zapisanej w pamiątkowej książce, jaką otrzymałam od moich rodziców w dniu zdobycia tytułu magistra pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej. Po 16 latach edukacji, 1 września 1982 roku stanęłam na progu wiejskiego przedszkola we wsi — Makowsko. Rozpoczęłam nowy etap życia i postawiłam pierwszy krok w tworzeniu tym razem — zawodowego dzieła.

Wychowana w małym miasteczku, studiując przez cztery lata w bydgoskiej WSP, nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek dane mi będzie doświadczyć rozbieżności między teorią a praktyką pedagogiczną, poznawać kulisy naszego zawodu i jego etyki oraz pełnić rolę przysłówowej „silaczki”, w tzw. terenie. Dziś, z perspektywy roku, stwierdzam, że była to dla mnie bezcenna lekcja życia i pracy. I nie tylko...

Makowsko oddalone jest od rodzinnego Koronowa 16 km. Korzystając z wolnego pokoju w budynku przedszkola, postanowiłam zmienić otoczenie i zamieszkałam na wsi. Urzędniczka dokonująca formalności meldunkowych nie ukrywała swego zdziwienia, zmieniając zapis w dowodzie osobistym z miasta na wieś.

Placówka, w której od roku pracuję, jest zakładowym przedszkolem przy PGR — Makowsko. Dyrekcja PGR służy życzliwą pomocą, żywo interesuje się sprawami placówki i godnie pełni rolę gospodarza. Do dyspozycji dzieci i nas nauczycieli — są cztery przestronne sale zajęć i bardzo obszerne zaplecze socjalno-gospodarcze.

Personel pedagogiczny składa się z trzech osób, dwie pracujące ze mną koleżanki są absolwentkami Studium Wychowania Przedszkolnego (jedną z nich pełni obowiązki dyrektora przedszkola). Fakt ten, ze względu na różnice w poziomie naszego wykształcenia, do dziś wywołuje zgrzyty. Przez miniony rok nie raz słyszałam kąśliwe uwagi, iż nie mam kwalifikacji do pracy w tym zawodzie, jako że skończyłam tylko pedagogikę opiekuńczo-wychowawczą, a nie wychwalane nieustannie Studium Wychowania Przedszkolnego.

Wszystkie te przykre dla mnie sytuacje, staram się znosić z dumą i ambicją oraz godnością osobistą, choć przyznam, nie jest to ani łatwe, ani przyjemne. Po prostu — samo życie... Nie sprzyja to rozwijaniu pomysłów i zbieraniu pozytywnych, zawodowych doświadczeń. — jest zaś z pewnością dobrą szkołą „kobiecej dyplomacji”.

Mam za sobą rok pracy. Moje ubiegłoroczne 6-latków siedzą już dzisiaj w szkolnych ławkach i odwiedzają przedszkole, dzieląc się ze „swoją panią” radościami i smutkami pierwszoklasistów. Gdy zaś spotkamy się przypadkiem na wiejskich ścieżkach, pozdrawiają mnie głośno.

Siedząc w moim małym mieszkanku, w długie jesienne wieczory próbuję ocenić swoje wejście w zawód. Uważam, że mimo opisanych „cieni” nie mogę narzekać. Przyznam, iż przez miniony rok wiele się nauczyłam. Pomyślnie wypadła pierwsza zorganizowana przy udziale rodziców, choinka noworoczna i święto Matki. Dzieci okazały się prawdziwymi artystami. Rok szkolny pożegnałam ze łzami radości w oczach.

Mięły wakacje. Przedszkole zostało świeżo wymalowane, a moje mieszkanie powiększone. Zaczynam zapuszczać korzenie.

1 września br. wzięłam pod swoją opiekę kolejną grupę 6-latków. Jacy będą? Chciałabym, by wyrosli na mądrych, pracowitych ludzi i uczciwych Polaków. Pierwszą lekcją patriotyzmu był dla nich udział przed kilkoma dniami w uroczystości wręczenia sztandaru miejscowej szkole podstawowej. Przeżyli to bardzo głęboko, na swój dziecięcy sposób.

Przedemną pracowity rok i długie, długie lata pracy i tworzenia swego pedagogicznego dzieła. Czy uwierzę w sukcesy?

„MARIOLA”

NIE OBYŁO SIĘ BEZ POTKNIĘĆ

Właściwie to powinienam swoją pracę zatytułować: „Pierwszy rok”. Jestem jedną z tych, którzy rozpoczynali pracę pedagogiczną w roku szkolnym 1982/83, jako niewykwalifikowani. Obecnie mam „w kieszeni” świadectwo ukończenia rocznego studium pedagogicznego, roczny staż w zawodzie nauczycielskim, a w planie zaoczne studia na WSP.

Pierwszy dzień pracy. Do dziś pamiętam radość pomieszaną z trwogą, która towarzyszyła mi w drodze do szkoły. Jakże są te dzieci? Co powinnam im powiedzieć? Jaką panią chciałyby mieć? Jak mnie przyjmą? Na te i inne pytania już wkrótce mogłam odpowiedzieć. Miałam uczyć matematyki oraz plastyki i pracy-techniki w klasach IV, V i VI.

Pierwszy tydzień upłynął w bałaganie i rozgardiaszu. Nie skończony remont przeciągał się. W tym samym czasie jedna z nauczycielek poważnie zachorowała. Z tym wszystkim zbiegła się obrona pracy magisterskiej dyrektora. W takiej oto sytuacji próbowałam stawiać pierwsze kroki w swojej pracy. I znowu rzeczywistość okazała się bardzo różna od moich trochę śmiesznych wyobrażeń. Było ciężko. Do stałam programy nauczania matematyki, niektóre podręczniki, jeden zeszyt i długopis. Przed rozpoczęciem pracy dyrektor zapoznał mnie z budową lekcji oraz ich rodzajami. Resztę miałam „doczytać” z podręcznika Wincentego Okonia „Zarys dydaktyki ogólnej”. Oczywiście, doczytałam. Inna sprawa, że bardzo niewiele przemawiało z tego, co czytałam, do mojej wyobraźni. Przecież jeszcze tu niedawno sama byłam uczennicą...

Przez pierwsze dwa miesiące nie mogłam się pozbierać. Dopiero, kiedy zaczęłam dojeżdżać do Jeleniej Góry na zaoczne studium, zrozumiałam, co znaczy być nauczycielem. Wymiana zdań z koleżankami i kolegami ze studium (większość z nich miała ukończone studia wyższe), pozwoliła mi uwierzyć, że zasób wiadomości jeszcze nie gwarantuje powodzenia w pracy z dziećmi. Dopiero ogromne serce i szczere chęci w połączeniu z wiedzą coś znaczą. Szybko zrozumiałam, że można rzeczywiście czuć satysfakcję, gdy klasówka dobrze wypadła, gdy zadanie domowe nie nastrojało problemów, kiedy uczeń dobrze odpowiada. Postępy, które dawały się zauważyć, zwłaszcza w kl. IV i V, cieszyły mnie ogromnie.

Najwięcej trudności nastrojały mi uczniowie z kl. VI. Nie mogłam ich zachęcić do nauki. Znałbym motywację — to było remedium. Zwracałam się z tym do moich starszych koleżanek, wysłuchiwałam różnych rad. Próbowałam różnych sposobów. I nareszcie coś drgnęło. Był to kolejny sukces, może nie tylko mój, ale to nie umniejszało jego znaczenia dla mnie.

Wreszcie dyrektor „wprosił się” na lekcję do kl. VI. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że hospitacja powinna być zapowiedziana. Uczniowie lekko przestraszeni, temat trudny, ja wystraszona. Lekcję „położyłam na łopatki”. Nie załamalam się mimo to. Potem były inne hospitacje, w kl. IV i V. Związana lekcją w kl. IV „oczarowałam” dyrektora, jak mi później powiedział. Uwierzyłam w siebie po raz kolejny. I ta wiara tli się do dziś.

Wielkim przeżyciem dla mnie było zebranie z rodzicami. Tego zebrania bałam się chyba nie mniej niż pierwszego spotkania z dziećmi, a może nawet bardziej. Ani się obejrzałam, jak stanęłam przed swoim audytorium, które składało się w większości z matek w wieku 30—35 lat.

Odetchnęłam z ulgą. Powitały mnie serdecznym uśmiechem.

Dopiero teraz z perspektywy roku widzę, co zrobiłam dobrze, co źle, a czego nie zrobiłam w ogóle. Dzisiaj jestem mądrzejsza, i bogatsza o doświadczenia w pracy z dziećmi. Już teraz wiem, że nie jest to praca ani lekka, ani łatwa. Kiedy przychodzę do domu, czuję się zmęczona, a często wyčerpana. Nie myślę jednak o zmianie pracy. Nie dlatego, że nie lubię zmian i że od września podwyższono mi pensję, ale chyba przede wszystkim dlatego, że pokochałam te dzieci. I te, które cieszą się moimi postęпами, aktywnością i pilnością, i te, a może przede wszystkim te, z którymi trzeba pracować podwójnie.

I jeszcze jedno. Może dla niektórych zabrzni to jak slogan, ale uważam, że każda praca jest ciężka, jeżeli wykonuje się ją dobrze.

„MIRKA”

LAUREACI

Jury w składzie: przewodnicząca — red. Maria Rybarczyk, oraz członkowie: red. Maria Kalińska i red. Zenobia Miller po wnikliwej analizie nadesłanych na konkurs prac postanowiło: nie przyznawać nagrody pierwszej, zwiększyć natomiast liczbę nagród drugich do dwóch.

Nagrody II w wysokości 5 tys. złotych każda otrzymują kol. kol.: Ewa Bartkowska ze Skotowa, woj. olsztyńskie oraz Teresa Zozuła ze Świdnicy, woj. pilskie.

Nagrodę III w wysokości 4 tys. złotych uzyskała praca kol. Jacka Janikowskiego ze Szklarskiej Poręby.

Wyróżnienia pieniężne po 2 tys. złotych otrzymali: kol. kol. Sławomir Binkiewicz z Gory, gm. Uniejów; Jerzy Bauer — Łanów, Jolanta Ciemińska — Dobrze Miasto, Halina Gołębiak — Poznań; Jadwiga Jag-niszczak — Sanok, Mirosława Jelega — Platerówka, Krystyna Mankowska — Góra, Krzysztof Szlachta — Parkoszwice, Mariola Turzyńska — Makowsko, Anita Zieleniewska — Toruń.

Wyróżnienia książkowe otrzymali: kol. kol. Krystyna Góźdź — Nowy Targ, Zofia Lisiecka — Białystok, Anna Nyka — Wąsosz, Danuta Płaska — Grudusk, woj. ciechanowskie, Cezary Piotrowski — Dąbrowka, Grażyna Ryćkowska — Łatowicz.

Wszystkim laureatom konkursu gratulujemy wygranej i życzymy sukcesów w pracy z młodzieżą. Nagrody wysłamy pocztą.



RECEPTA NIEOPATENTOWANA

SZUKAJĄC PEŁNI

„Zza winkla”. Któż z poznaniaków nie zna tej na polu amatorskiej, na polu profesjonalnej kapeli z Nowego Tomysła rodem? Swada, humor, piosenki wykorzystujące gwarę poznańskich podwórek, zjednują jej sympatyków w całej Wielkopolsce, a występy na antenie lokalnej rozgłośni radiowej, udział w telewizyjnej „dwójce”, sprzyjają wzrastaniu popularności. Ale nie wszyscy miłośnicy zespołu wiedzą, że trzej spośród siedmiu pełnych werwy zawodników, to nauczyciele. I może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że ów zawód nieodparcie kojarzy się z powagą, często zaś z ludźmi nie umiejącymi traktować siebie z poczuciem humoru. A jednak...

Kapela „Zza winkla” (patrz zdjęcie) to zresztą nie pierwsza forma, poprzez którą nauczyciele z Nowego Tomysła, realizując własne pasje, starają się dotrzeć do środowiska. A trzeba przyznać, że trafiają na podatny grunt.

Na pewno sprzyja temu specyficzna atmosfera, którą od wielu już lat tworzy swoiste centrum kulturalne: Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy oraz Nowotomyski Ośrodek Kultury.

Już samo usytuowanie, architektoniczne rozplanowanie budynków świadczy o tym, że wszystko zostało tu dokładnie przemysłane. Położone po sąsiedzku, w pobliżu gmachu Liceum Ogólnokształcącego, zwracają uwagę swą nowoczesną, a zarazem harmonizującą z otoczeniem, formą. Ich wyposażenie może budzić zazdrość. W NOK jest i sala widowiskowa na 314 osób, ze świetną akustyką, pojemną sceną, i wielość salek dla poszczególnych sekcji, i pomieszczenia reprezentacyjne, i tzw. sala luźna do zajęć z rytmiki, urządzona na miarę sali ćwiczeń w szkole baletowej.

Biblioteka Publiczna oprócz przytulnych pomieszczeń przeznaczonych dla czytelników i bogatego księgozbioru, dysponuje sprzętem, którego mogłyby jej pozazdrościć i niektóre biblioteki uniwersyteckie. Urządzenie do odczytywania mikrofilmów, powielacze — są tu ogólnie dostępne. Powiększające się z roku na rok zbiory, a także dodatkowa działalność prowadzona przez bibliotekę, sprawiły, że już niedługo będzie dobudowywane dodatkowe skrzydło. Ta konieczność to jedna z najbardziej widocznych oznak, że mieszkańcom Nowego Tomysła biblioteka jest po prostu potrzebna. A ileż podobnych obiektów, po zazwyczaj szumnej inauguracji, wiedzie raczej senny żywot.

Dlaczego tu jest inaczej? Ani ośrodek kultury, ani biblioteka, ani nauczyciele nie

tworzą w Nowym Tomyslu osobnych enklaw życia kulturalnego. Przeciwnie — wspólne cele pogłębiły wzajemne więzy. Jak więc na co dzień wygląda ta współpraca?

„CHCĘ ROZMILOWAĆ SIĘ W MUZYCE”

Nowotomyski Ośrodek Kultury, w którym jestem przed południem, już o tak wczesnej porze tętni życiem. W holu słychać stukot młotków. To plastycy przygotowują wystawę poplenerową „Wiklina 83”. Na schodach mijam grupę dzieci, które przyszły tu na rytmikę. Lekcje zaczynają po południu, a więc mają teraz czas. Ale ich koledzy z I e są tu na lekcji wychowania plastycznego. Rzecz jasna, że zajęcia w klubie bardzo im się podobają. Jest tu inaczej niż w szkole, no i mogą obejrzeć różne ciekawe rzeczy.

Dlaczego lekcje w klubie? Dyrektor ośrodka kultury, Jerzy Sukiennicki, po prostu rozumie trudności lokalowe, z jakimi boryka się Szkoła Podstawowa nr 1. Zaproponował więc dyrekcji, aby niektóre zajęcia, np. wychowanie plastyczne, wychowanie fizyczne, odbywały się w salach ośrodka — do południa z reguły nie wykorzystanych. Przyznaje jednak z humorem, że wcale nie zrobił tego bezinteresownie. Jest to sposób na zyskanie przyszłych członków licznych tu sekcji. Niech dzieciaki od najmłodszych lat oswoją się z atmosferą klubu, niech poznają go od wewnątrz, a może w przyszłości i one wniosą doń coś nowego?

Na razie jednak klub robi, co może, aby przyciągnąć do siebie szkoły — młodzież, nauczycieli, dyrekcję. A okazją chociażby koncerty w ramach klubów Pro Sinfonika, na które do Nowego Tomysła przyjeżdżają regularnie muzycy z Filharmonii Poznańskiej. Kluby młodzieżowego ruchu miłośników muzyki Pro Sinfonika, istniejące przy szkołach już od kilkunastu lat, to zresztą duma Wielkopolski. Młodzież licealna z Nowego Tomysła przychodzi na nie do sali widowiskowej w ośrodku kultury. Szkolna sala gimnastyczna nie pomieściłaby wszystkich słuchaczy, a ponadto ta akustyka... Skoro więc klub chętnie użycza swej sali, i to bezpłatnie, warto skorzystać.

Te comiesięczne koncerty, to prawdziwe przeżycie dla słuchaczy. Jeden z licealistów zwierzył się, że koncerty Pro Sinfoniki należą do największych atrakcji jego uczniowskiego życia: „Znajduję w nich spokój, ukojenie. Wydaje mi się, że inaczej zaczynał spoglądać na świat. Konieczność chcę rozmilować się w muzyce na dobre, choć wiem, że mam przed sobą jeszcze długą drogę. Może to banalne, co powiem, a może nie. Jestem lepszym synem, uczniem i kolegą, odkąd działam w Pro Sinfonice. Czy to spowodowała muzyka? Może. Czy to spo-

wodowała atmosfera Pro Sinfoniki? Może. Czy jedno i drugie? Na pewno”. Ta rekomendacja brzmi niczym z pięknego snu, debiutującego w zawodzie, wychowawcy. Od razu też nasuwa się wątpliwość: czy wszystko układa się tu aż tak różowo?

NA POZATKU BĘDZIE HORROR...

Dyrektor Sukiennicki musi przyznać, że nie zawsze propozycje klubu są odbierane tak, jak organizatorzy by sobie tego życzyli. „Oprócz rzeczywiście zainteresowanych np. plastyką, fotografią, teatrem, istnieją liczniejsze przeciwieństwo młodzieży nie umiejącej sprecyzować swych zainteresowań, lub tej, której trzeba pomóc w dokonaniu wyboru. No, ale oczywiście, że właśnie tych młodych trzeba najpierw jakoś przyciągnąć. Przed rokiem zorganizowano Dyskusyjny Klub Filmowy „Eroica”. Sprobowano bardzo ambitne filmy. Efekt? Na widowni, dwie — trzy osoby. Na razie więc zmieniono nieco pierwotną koncepcję DKF, sprowadzając filmy łatwiejsze. Okres przedświąteczny zapowiada się na przykład pod znakiem... horrorów. Będzie też maraton filmów dla dzieci. A na razie triumfy powodzenia święci kurs tańca. Tylko że to jeszcze nie może satysfakcjonować. Nowotomyski Ośrodek Kultury liczy 600 członków, a dyrektor pragnąłby, aby tej frekwencji nie „robiły” głównie sekcje typu tańca towarzyskiego, choć niewątpliwie i te są potrzebne.

W ogóle troska o zaktywizowanie tych, którzy z własnej potrzeby pewnie by tu nie trafili, jest charakterystyczna dla domu kultury. Na przykład Kuratorski Ośrodek Pracy z Młodzieżą, którym opiekuje się Walerian Kuberski, kieruje do NOK swoich podopiecznych. A są to najczęściej chłopcy po wyrokach sądowych. Tenis, gry i zabawy czy nawet odrabianie zadań domowych — oczywiście pod opieką wychowawcy, ale w warunkach klubowej swobody, sprzyjają powracaniu tej młodzieży do normalnego życia.

Walerian Kuberski, jednocześnie wicedyrektor Szkoły Podstawowej nr 2, bardzo wysoko ocenia współpracę z Nowotomyskim Ośrodkiem Kultury. Ważne, że ani wychowawcy, ani ich podopieczni nie czują się w nim intruzami. Nikt w obawie przed dewastacją nie zamyka przed nimi sprzętu, nie zabrania udziału w turniejach i klubowych imprezach. Po prostu są tu traktowani na równi z członkami innych sekcji. I kto wie, czy to zaufanie, wrażenie psychicznego luzu, poczucie bezpieczeństwa nie przynosi im największej szansy — wyzwolenia z agresji?

Z KATALOGIEM W KRAINĘ BAŚNI

Henryk Błaż, dyrektor Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika w Nowym Tomyslu, uważa, że Biblioteka Publiczna jest tym animatorem życia kulturalnego, który stawia sobie ambitne cele. Jego szkołę łączy z nią bardzo bliskie stosunki. W Klubie Miłośników Książki Pro Libris działają przy bibliotece trzy sekcje: twórcza, przyrodnicza, regionalna. Skupiają one młodzież głównie z liceum, tę szczególnie uzdolnioną, pragnącą w jakiś sposób dać ujście swym poetyckim próbom czy naukowym zainteresowaniom. Ciekawe, że opiekunami naukowymi niektórych sekcji są nauczyciele liceum, innych — instruktorzy z Nowotomyskiego Ośrodka Kultury. Biblioteka oprócz roli inspiratora spełnia tu funkcję organizacyjną: udostępnia bazę i środki na organizację wystaw, spotkań, powielanie tekstów młodych twórców.

Aż trudno uwierzyć, że dziś w czasach „trudności obiektywnych” istnieje placówka kulturalna, w której wszystko działa jak w zegarku. A jednak mogłam się o tym przekonać na własne oczy. Jedyną niedogodnością, z jaką zaczęła borykać się biblioteka, jest stłoczenie zbiorów, no ale to nie wyklucza przecież spotkań z czytelnikami, dla których spełnia ona rolę ośrodka życia umysłowego.

Jako patronka różnorodnych przedsięwzięć kulturalnych, intelektualnych — nastawiona jest przede wszystkim na pobudzanie aktywności środowiska. Młodzież to jej główny, choć nie jedyny, adresat. I dlatego właśnie dyrektor Biblioteki Publicznej — Czesław Krolek pragnie, aby włączyła się ona w życie miasta, aby nie tylko brała, ale i dawała mu coś od siebie. Okazją chociażby zbliżający się jubileusz 200-lecia nadania Nowemu Tomysłowi praw miejskich. I choć przypada on dopiero w 1988 roku, już teraz Społeczny Komitet Obchodów zaplanował, jaki nadać kształt tej uroczystości, tak aby wypadła godnie, a zarazem bez pompy i zbędnych kosztów. Sekcja historyczno-regionalna uczciła to święto zebraniem dokumentów będących genealogią rodzin żyjących w Nowym Tomyslu. I pożyteczne to dla miasta, jako ważny przyczynek do jego dokumentacji i na pewno ciekawe dla samych uczniów, bo przecież będą pracowali często przy odtwarzaniu swych własnych rodowodów.

W pracach Biblioteki Publicznej nauczyciele nie odgrywają jedynie roli naukowych opiekunów. Niektórzy z nich, jak na przykład Zdzisław Kaczmarek czy Henryk Błaż, znaleźli tu wydawcę swych wierszy. Na razie odważyli się przynieść te okazjonalne w związku z konkursem „Moje miasto”, ale teraz, gdy już się „odkryli”, pewnie na tym nie poprzestaną.

Czesław Krolek uważa, że działalność biblioteki szczególnie w tak niewielkim ośrodku miejskim, nie może ograniczać się

jedynie do sprowadzania i wypożyczania książek. Musi ona również nauczyć kultury obcowania z książką, umiejętności korzystania z bibliotecznych zbiorów. Dlatego też na tzw. lekcje biblioteczne, które odbywają się minimum 2—3 razy w roku, przychodzi tu uczniowie szkół średnich, podstawowych i to od „zerówki” począwszy. Pomyślano także o przedszkolakach i o przygotowaniu dla nich specjalnego kąpaka, w którym oprócz swych ulubionych książeczek, znajdą i pluszowe misie.

Oczywiście, w miarę dorastania dzieci, zakres omawianych przez bibliotekarkę, Danutę Pogonowską, zagadnień związanych z książką, powiększa się. Absolwenci tutejszych szkół średnich nie powinni więc mieć kłopotów z dotarciem do źródeł w uczelniach. Z katalogami obeznali się już przecież u siebie.

Biblioteki łączone, czyli publiczno-szkolne, to — zdaniem dyrektora Krolka — jedyne realne (na razie) wyjście z ograniczeń, na jakie narażone jest dziecko w szkolnej bibliotece wiejskiej. Nad trzema takimi bibliotekami gminy: w Boru Kościelnej, Jastrzębsku, Sątopach, Biblioteka Publiczna z Nowego Tomysła sprawuje pieczę.

BRAWO DLA NASZEGO PANAI!

W Boru Kościelnej od lat każde wesele odbywało się w tutejszym domu kultury. I właściwie na tym kończyła się rola, jaką odgrywał on w środowisku. Aż w końcu znalazł się nauczyciel chcący przywrócić sens nazwie, jaką tej „tańcudzie” pierwotnie nadano. Poparcie Nowotomyskiego Ośrodka Kultury, który od października mianował go instruktorem środowiskowym w Wiejskim Domu Kultury i obiecał pomoc — przypieczętowało to przedsięwzięcie. Czy się uda? Na oceny jeszcze za wcześnie, ale sądząc z uprzednich dokonań Bogdana Górnego — twórcy i jednego z wykonawców „Zza winkla”, do ubiegłego roku prowadzącego chór w pobliskim Bukowcu, a jednocześnie nauczyciela muzyki — można mieć nadzieję, na spełnienie. Na razie powstały sekcje: tenisa stołowego, muzyczna i taneczna. Inne dopiero się zawiązują.

W Boru Kościelnej nauczyciele ze Szkoły Podstawowej im. M. Konopnickiej nie chcą się zamykać w opłotkach. Dyrektorka szkoły, Regina Ratajczak zamieszcza swe artykuły w „Wychowaniu Obywatelskim” i innych czasopismach, pisze teksty pieśni szkolnych, do których muzykę komponuje właśnie uczący muzyki w tej samej szkole — Bogdan Górny. Natomiast nauczyciel wychowania fizycznego, Andrzej Bobkiewicz — to kolega B. Górnego z kapeli „Zza winkla”.

Zespół powstał trzy lata temu przy Nowotomyskim Ośrodku Kultury. Środowisko wsi, gdzie uczą, na szczęście nie odegrało roli hamującej zapędy młodych pedagogów. „Wygłupy” na estradzie, zadziorne gesty, zawiadające czapki jakoś nie odebrały im też autorytetu wśród uczniów. Przeciwnie, bardziej ich do młodzieży zbliżyły. Mają w szkole swych wielbicieli, a nawet naśladowców, próbujących grać melodie z ich piosenek. Nauczycieli — „artystów” zaakceptowali też rodzice, nagradzając kapelę długotrwałą owacją na tegorocznych gminnych dożynkach.

Nic dziwnego, że zespół instrumentalny prowadzony od tego roku szkolnego przez Bogdana Górnego, skupiający uczniów z klas I-IV, już 8 marca wystąpi ze swoim programem. Ci malcy też chcą pokazać, co umieją. Na razie uczą się gry na prostych instrumentach perkusyjnych. Bogdan Górny trzeci rok prowadzi też żeński zespół wokalny, biorący udział w wielu konkursach. Aż dziw bierze, jak znajduje na to wszystko czas.

★

Henryk Helwing, gminny dyrektor szkół podkreśla osobiste zaangażowanie wielu nauczycieli również w to, co robią z młodzieżą na lekcjach. Gdyby nie ono, nie byłoby pewnie licznych nagród dla dziewięczonego chóru Pro Sinfonika od lat prowadzonego przez nauczycielkę liceum, Walerię Milczyńską. Nie byłoby wśród uczniów tylu chętnych do uczestniczenia w spotkaniach Klubu Myśli Politycznej, którym kieruje nauczycielka historii, w tutejszym liceum, Grażyna Janus. Wielu z nich oprócz pracy w szkole, prowadzenia kółek przedmiotowych, różnego rodzaju zajęć pozalekcyjnych, podejmuje się funkcji instruktorskich w ośrodku kultury czy w Bibliotece Publicznej. Kilku — jak chociażby Stefan Wojtkiewicz, nauczyciel historii w szkole podstawowej, a pasjonujący się metaloplastyką, kolekcjonowaniem białej broni i literatury z nią związanej — to indywidualiści. Różne zainteresowania, różni ludzie. Łączy ich jedno — niegodzenie się na nijakość.

Nowy Tomyśl, miasteczko, jakich wiele, tyle że ładne i zadbane. Fabryka narzędzi chirurgicznych, uprawa chmielu i wikliny. To nie metropolia, gdzie za rogiem kino, a na następnej ulicy filharmonia czy teatr, a i tak często nie ma się nawet ochoty spojrzeć, co nowego grają. I w takim właśnie, na pozór zwyczajnym, miasteczku wyrasta prawdziwy ośrodek życia kulturalnego, a także chyba i intelektualnego. A wszystko w nietłajwej przecież rzeczywistości lat osiemdziesiątych.

BOŻENA NIEDZIULKA

MIASTO KONTRASTÓW

KORESPONDENCJA WŁASNA Z USA

Deszcz był naprawdę duży, chyba nigdy w życiu takiego nie widziałem. Spadło — jak się później dowiedziałem z telewizji — 2,8 cala wody. Portier hotelu, w którym mieszkałem, Irlandczyk, przyglądając się padającemu z nieba potokowi wody stwierdził: „W Nowym Jorku wszystko jest większe”.

FORMALNIE MIASTO PROWINCJONALNE

Tymczasem ten gigant, będący przez wiele lat największym miastem świata, metropolią, która dyktowała nie tylko kierunki polityki świata kapitalistycznego, zwłaszcza w dziedzinie finansów, handlu i przemysłu, nadawała ton reszcie kraju i wielu państwom w różnych dziedzinach — formalnie jest miastem prowincjonalnym, nie jest ani stolicą stanu, ani kraju. Stolicą stanu Nowy Jork, w którym leży New York City, jest bowiem Albany, liczące zaledwie coś powyżej stu tysięcy mieszkańców.

Można więc zapytać, co to jest więc właściwie ten Nowy Jork? Jego powierzchnia administracyjna liczyła w połowie lat siedemdziesiątych około 8000 km kw — a więc osiem razy więcej niż Paryż. W Nowym Jorku żyje około 8 mln mieszkańców. Istnieje również pojęcie zespołu miejskiego Nowego Jorku, którego ludność przekracza 11 mln, a w całym tzw. zespole metropolitalnym, obejmującym wiele miejscowości leżących nie tylko w stanie Nowy Jork, ale także New Jersey — mieszka około 16 mln ludzi.

WIELKIE JABŁKO

Ale Nowy Jork to nade wszystko część amerykańskiego mitu, mitu bogactwa i sukcesu. Symbolizuje go Wielkie Jabłko, które czasem widać na pocztówkach, zaś wielu przybyszom wydaje się, że wystarczy tylko ręką sięgnąć, by je mieć. Stąd Nowy Jork dla całych pokoleń miał być Wielką Szansą, a jej częścią jest opowieść o małym pucybucie z dzielnicy finansowej Wall Street, który po latach został milionerem.

Ten mit tkwi korzeniami w konkretnych potrzebach ludzkich, w nadziejach, że można kształtować swój los, że każdy ma ogromne szanse sukcesu. Na co dzień ma to potwierdzać fakt, że tu mieszkają miliony, zaś Piątą Aleję określa się jako „najdłuższą aleję milionerów”. Mieszczą się przy niej słynne z bogactwa sklepy jubilerskie Cartiera czy Gucciego. Miasto oferuje dziś pracę ponad 3 mln ludzi; przepłynek przez nie miliony, poczynając od XIX-wiecznych fal emigracyjnych z Irlandii, Włoch, Europy Wschodniej — poprzez nowych przybyszów z Meksyku, Haiti, Puerto Rico czy Chin, Korei Południowej, Japonii.

Mitowi sukcesu wcale nie przeszkadza fakt, że tuż za rogiem Piątej Alei można zostać obrabowanym, a w pobliżu siedzib wielkich koncernów czy banków ulicznych sprzedawcy oferują tandentne wyroby rzemieślnicze, że w sąsiedztwie pełni się wielkomiejska bieda. Koszt lunchu w ekskluzywnym restauracji wynosi tyle, ile miesięczne zarobki dziewczyny służącej u uczyniającej tu damy z nowojorskiej elity. Ta słynna „high society” liczy około 5 proc. mieszkańców, dolna granica zarobków wśród jej przedstawicieli znacznie przekracza 50 tys. dolarów rocznie.

Ci ludzie — do nich zalicza się na przykład rodzina Rockefellerów — nie mają właściwie żadnych trosk materialnych, dysponują ogromnym majątkiem i wpływami. Są członkami ekskluzywnych towarzystw i klubów, w zaciszu ich prywatnych gabinetów podejmowane są decyzje, kształtujące później politykę rządu USA. Nowy Jork to przecież siedziba Council on Foreign Relations (Rady Stosunków Zagranicznych) czy Trilateral Commission (Komisji Trójstronnej). Pierwsza od wielu lat obsadza stanowiska w aparacie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych; to na jej forum opracowywano koncepcję globalnej ekspansji Stanów Zjednoczonych po II wojnie światowej. Na drugiej opierała się administracja Jimmy'ego Cartera, dwudziestu członków tej komisji zajmowało wówczas najważniejsze stanowiska.

Ale ludzi z politycznego establishmentu Nowego Jorku nie widzi się na ulicy; czasem tylko można ich spotkać wychodzących z drogich restauracji, z premieri nowego music-hallu. Niekiedy eksponują fragmenty swych gigantycznych fortun w niewielkich galeriach sztuki, choćby takich jak znajdująca się w Asia Society (Towarzystwo Azjatyckie) wystawa skarbów sztuki Dalekiego Wschodu i Azji Południowej. Mieszcząca się w kilku salach gale-

ria, własność Johna D. Rockefellera III i jego małżonki, nie przypomina rupieciarni „Victoria and Albert Museum” w Londynie, bo zbiory należą do najbardziej unikalnych w świecie. Tam, na przykład, można zobaczyć najstarszą chińską porcelanę z III w. pne., rzeźby ze świątyni Angkor Wat, czy japońskie malowidła...

ZMIERZCH TYGŁA

Wielu Amerykanów uważa, że Nowy Jork to prawie zagranica. Nie jest to z pewnością typowe miasto amerykańskie. Mówi się też o nim czasem, że jest on stolicą świata nie tylko z racji mieszczącej się tu od 1946 r. siedziby ONZ, lecz ponieważ wynika to z faktu różnorodności jego mieszkańców. Wszak połowa z nich — a więc około 4 mln — nie jest pochodzenia amerykańskiego. Mieszka tu więcej Żydów niż w Izraelu, ponad 700 tys. Włochów, 250 tys. Polaków, liczne są enklawy przybyszów z Niemiec, Irlandii, Grecji, innych krajów Europy: w sumie daje to około trzy czwarte ludności pochodzenia europejskiego. Ciągłe wzrasta liczba Latynosów, wychodźców z Ameryki Południowej, zwłaszcza z Puerto Rico, Meksyku, Argentyny. Stąd też jeden z kanałów telewizyjnych stale nadaje audycje w języku hiszpańskim (w dni weekendów są także programy w językach stale zwiększającej się ludności pochodzenia azjatyckiego). Rodzi się nawet nowy język — spanglish — będący mieszaniną hiszpańskiego i amerykańskiej odmiany angielskiego.

Szybko w Nowym Jorku powiększa się liczba Azjatów, którzy wyszli poza tradycyjną Chinatown na Dolnym Manhattanie — dziś mieszkają także w innych dzielnicach, takich jak Queens, Bronx, Brooklyn. Na Flushing powstał swego rodzaju „Seul nad metrem”, gdzie kształtuje się nowa enklawa ludności pochodzącej z Chin, Korei Południowej i Japonii. Niektórzy nazywają linię metra Manhattan — Flushing „Orient Expressem”.

Nie wszystkie poddzielnice są tak barwne jak Chinatown, gdzie nawet budki telefoniczne mają daszki przypominające pagody chińskie, sprzedaje się wyroby sprowadzane z ChRL lub Tajwanu, czy też wyprodukowane na miejscu. To, co uderza przybysza, to niezwykła estetyka i poczucie smaku, a także wartość artystyczna oferowanych produktów — czy to będą wyroby z porcelany, czy pudełka z herbatą, o której nasi smakosze mogą tylko marzyć.

Grozę budzą budynki w tradycyjnej „podzielnicy” czarnej ludności Manhattanu — Harlemie. Murzyni mieszkają zresztą nie tylko tam — Nowy Jork stanowi największe w USA skupisko ludności murzyńskiej, stąd też spotyka się ich niemal na każdym kroku nie tylko na południowym Bronxie, czy też Queensie.

Mozaika ludnościowa Nowego Jorku stale zmienia się. Emigranci z Polski koncentrują się głównie wokół Greenpointu na Queensie. Tam można kupić najlepsze chleb polskie kabanosy i inne wędliny, robią je jeszcze według przepisów naszych dziadków. To w tym regionie, zwłaszcza w klubie „Polonez”, występują polscy artyści przyjeżdżający tu „na saksy”. Polaków, mieszkających w innych częściach tego wielkiego miasta, można spotkać ubranych w policyjne mundury — na plakietkach przypiętych do piersi napotyka się takie nazwiska jak Snopkowski, Bury, Goral, Swoboda. Nie ma policjantów — Chińczyków; ta praca jest po prostu zakazana przez chińską mafię.

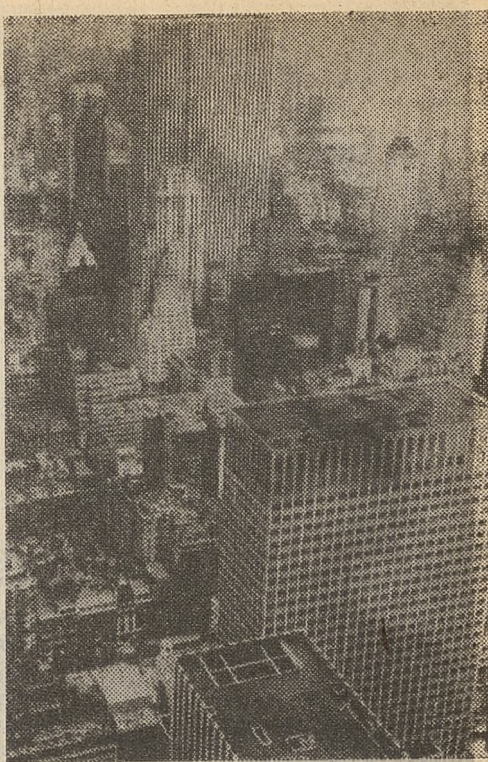
O ile jednak już na ulicach Manhattanu częściowo można zorientować się w ogromnym zróżnicowaniu etnicznym tego miasta — najlepiej widać to w nowojorskich szkołach. Podaje się często jako przykład szkołę na Queensie, gdzie uczniowie jednej z klas liczącej 27 osób reprezentowali aż 11 krajów; każdy z nich pobierał również naukę w swym języku ojczystym. Fakt ten stał się podstawą do uogólnienia, wygłoszonego przez dyrektora wspomnianej szkoły, który powiedział: „nie jesteśmy już żadnym tygłem, lecz wazą z salatką jarzynową”.

Wypowiedź ta zawiera głębszy podtekst, świadczy o załamaniu się koncepcji tygła (metting pot), w którym stapiali się przybysze, tracąc swe etniczne korzenie. Tak było jeszcze w XIX wieku — obecnie już nikt nie sięga do tego wzorca, mówi

się bowiem o odrodzeniu mniejszości narodowych. Znacznie wzmacniają te tendencje nowi przybysze z różnych części świata; tylko w części „stapiają się”, częściej co raz mocniej podkreślając swą odrębność i własną kulturę.

NAJPODLEJSZA ULICA W AMERYCE

Tym mianem purytanie nazwali zachodni odcinek 42 Ulicy, między Broadwayem a Ósmą Aleją. Nie jest to typowy dla niektórych miast zachodnioeuropejskich „dystrykt czerwonych latarenek” (red light district), choć można tu spotkać najwięcej sklepów z wydawnictwami pornograficznymi, barów z tańczącymi nago dziewczynkami lub też bez większego problemu zaopatrzyć się w narkotyki. Obok lokali ków stripteasowych czy kin z filmami porno mieszczą się znakomite teatry i sale widowiskowe, znane kina. Odcinek ten, potocznie określany jako Broadway, był i pozostanie teatralnym centrum USA jeszcze przez wiele lat. Zwłaszcza popularność musicali jest ogromna a spektakl „Chorus Line” (Linia chóru) był już wystawiany ponad 3 tys. razy. Bilety są jednak nadal dość drogie, w każdym razie jak na kieszeń



Fot. CAF

przybysza z Europy, bo kosztują około 50 dolarów. Nabyć je można na bieżący spektakl w jedynej kolejce Nowego Jorku, przy kasie na Times Square.

Jednak przez długie lata Broadway był synonimem nowojorskiego przemysłu rozrywkowego, póki nie rozwinęły się teatry w innych częściach Manhattanu, zwłaszcza w Greenwich Village. Nazwano te teatry „off-Broadway” nie tylko z uwagi na oddalenie od tradycyjnego centrum, ale na ich awangardowy charakter. Warto dodać, że w wielu z nich aktorzy nie otrzymują gaży; daje to młodym aktorom możliwości występowania na prawdziwej scenie, a działalność teatru jest subwencjonowana.

Teatry, sklepy i inne atrakcje odwiedza 15 mln turystów rocznie. Korzystają oni z wszelkich rozrywek, jakie oferuje im Nowy Jork — zwłaszcza tych nieosiągalnych w purytańskich miasteczkach Ameryki. Często więc korzystają z usług prostytutki, tańszych, chodzących po ulicach — jest ich około 30 tys., tyle ich policjantów — lub tych droższych, których nie widać na ulicach. „Hundred dollar Lady” siedzi bowiem w lokalu z telefonem, którego numer można znaleźć w czasopiśmie „Screw”. Część dziewczyn ma swych „opiekunów” i jest — jak pisał duński dziennikarz Jacob Holdt — im podporządkowana w sposób przypominający niewolnictwo.

Znaczna część prostytucji kontrolowana jest przez mafię, czerpiącą zyski również z narkotyków, hazardu, a także z... wywozu śmieci. O jej istnieniu przypominają nie tylko kafejki o barwnej nazwie „pizza u Ojca Chrzestnego”, czy doniesienia o mafijnych porachunkach w gazetach lub w telewizji. Można się z nią zetknąć także w sposób bardziej bezpośredni, w postaci tajemniczych napisów umieszczonych w każdym sklepie czy barze w Chinatown lub też trupa mężczyzny „zlikwidowanego” strzałem snajpera przy ulicy sąsiadującej z hotelem, w którym mieszkalem. Wyjaśniło się później, że to też sprawa mafii.

KRYZYS MIASTA

Nowy Jork ma już za sobą apogeum rozwoju. Miasto od lat przeżywa kryzys, chroniczny jest wielomilionowy deficyt w budżecie miasta. Kiedyś pomocy odmówił mu prezydent Gerald Ford, za co prasa nowojorska zrewanżowała mu się później — po przegranej w wyborach — niezbyt kurtuazyjnymi sformułowaniami w rodzaju: „teraz zdychaj sam”.

Wizytówką Nowego Jorku są więc nie tylko wieżowce Manhattanu, będące dla narodu amerykańskiego tym — jak pisał

nowojorski poeta E. B. Whit — czym jest dla „wioski wieża kościelna”, ale regiony miasta budzące grozę. To znane „dzielnice hańby”: Harlem, południowy Bronx lub też niektóre regiony Brooklynu, gdzie domy straszą wypalonymi oknami i gdzie rodzą się dzieci porażone obłędem. Dewastacja substancji mieszkaniowej osiąga gigantyczne rozmiary. Ale rzadko docierają turyści...

Mówi się często, że w Ameryce nie ma już segregacji rasowej. Tak się jednak nie składa, że najbiedniejsze części wielkich miast zamieszkuje właśnie ludność kolorowa. Mieszkańcy Harlemu mają ogromne problemy ze znalezieniem mieszkań w innych częściach Nowego Jorku, chyba że będą to takie same getta jak Harlem, gdzie bezrobocie osiąga rekordowe rozmiary, a wszelkiego typu przestępczość nie ma odpowiedników gdzie indziej.

Nie jest w stanie zapobiec temu burmistrz Edward Koch, postać niezwykle barwna, smakosz nieustannie tłumaczący się z tego, że podejmowany przez jakąś mniejszość narodową przejazd się i pogotowie odwiezło go do szpitala. Tak było i po „Dniu Kolumba”, fetowanym przez miejscowych Włochów, którzy podejmowali „ojca miasta” spaghetti i znakomitym winem.

Kryzys Nowego Jorku jest częścią kryzysu wielkich miast świata kapitalistycznego, przejawia się on nie tylko w odpływie warstw średnich do regionów podmiejskich i napływie biedoty do centrum: to również część kosztów, jakie ponosi społeczeństwo, placąc za presję wywieraną na nie przez pogoń za pieniądzem. Stąd też miasta amerykańskie są miastami kontrastów: sąsiadują ze sobą dzielnice milionerów i regiony rozpaczliwej nędzy. Ci, co przegrali, muszą opuścić lepsze domy, bo nie stać ich na czynsz.

Zamieszkają w „dzielnicach hańby” lub też — wyrzuceni z pracy — wylądają na ulicy Bowery na Dolnym Manhattanie. A to już jest chyba ostatnie dno. Trafiają tam zarówno ci, co nie potrafili już walczyć z bezwzględny mechanizmem społecznym, jak i ludzie, którzy zapiwszy przed dziesięć laty jakąś kłeskę życiową — nie powrócili już do domów i znaleźli tutaj podobnych, mieszkających często pod gołym niebem, nałogowych alkoholików.

LECH KAŃTOCH



Fot. M. Suchecki

DROGI I BEZDROŻA NAUCZYCIELSKIEJ EDUKACJI

CD ZE STR. 1

Powstaje jednak aktualne pytanie, czy dziś wiemy, jak należy dobrze kształcić nauczycieli, oczywiście dla naszej konkretnej rzeczywistości, a nie dla jakiejś szkoły w ogóle?

Sytuacja kadrowa jest dziś w szkolnictwie niezwykle trudna. Oto na stanowiskach nauczycielskich zatrudniona jest około 38 tys. osób, nie mających żadnych ku temu kwalifikacji. Jest to już kilkanaście procent ogółu nauczycieli szkół podstawowych! Tymczasem takich przypadków nie powinno być w ogóle. Są one niezgodne z prawem i odczuwaniem społecznym, pozostają w rażącej sprzeczności z aspiracjami oświatowymi społeczeństwa.

KADROWY NIŻ TO NIE PRZYPADK

Dla ratowania trudnej sytuacji powołano przed rokiem 2-letnie studia nauczania początkowego, bo też tutaj braki są największe. Czy jednak takie rozwiązanie musiało być jedynym możliwym i czy szkolnictwo wyższe kształcało nauczycieli, tak przecież rozbudowane, musiało się okazać całkiem bezradne w krytycznej sytuacji kadrowej, w jakiej się znalazła oświata?

Otóż mam przekonanie, że te obecne rozwiązania, w postaci tworzenia SN, stanowią produkt nieporozumień, a zwłaszcza trudnej niemożności porozumienia się dwóch resortów odpowiedzialnych za stan rzeczy, wzajemnego przerzucania odpowiedzialności; to także efekt wzajemnej dezinformacji, a najczęstszą podejmowania zobowiązań, o których z góry wiadomo, że nie będą wykonane.

Przykładem mogą być dwa dokumenty podpisane przez ministrów obu resortów: jeden z lutego 1973 roku na temat „Założeń programowo-organizacyjnych reformy systemu kształcenia i dokształcania nauczycieli” i drugi, też z lutego, lecz 1983 roku, na temat „Modyfikacja systemu kształcenia, dokształcania i doskonalenia nauczycieli”. Pierwszy z tych dokumentów dogmatyzował system kształcenia nauczycieli i w znacznej mierze nie został wykonany. Drugi utrzymywał istniejący stan rzeczy, tzw. niedostosowanie obecnego systemu kształcenia nauczycieli do potrzeb kadrowych szkolnictwa. Ustalenia zawarte w tych dokumentach, przyjęte w wspólnym posiedzeniu kolegów przeżyły obu ministrów, nie wnoszą nic nowego do praktyki kształcenia nauczycieli i sankcjonują wszystkie narosłe w ostatnich latach nieporozumienia.

PROGNOZY I CO DALEJ?

Często mówi się, jakby dla usprawiedliwienia. że trudna sytuacja kadrowa, to efekt wstrząsu demograficznego oraz wymuszonej zmiany pensum dydaktycznego nauczycieli szkół podstawowych z 26 do 18 godzin tygodniowo. Są to jednak wyjaśnienia naiwne, obciążone raczej na niezorientowanego czytelnika. Trzeba bowiem pamiętać, że w latach siedemdziesiątych prace progностyczne były u nas rozwinęte na tak wielką skalę, jak nigdy do-

10 GŁOS NAUCZYCIELSKI

o głównym zajęciem dydaktycznym dla prawie 7,5 tys. polonistów, ponad 6 tys. specjalistów z zakresu zajęć technicznych, po 5 tys. biologów i matematyków oraz wielu innych specjalistów przedmiotowych.

Faktycznie więc w szkolnictwie mamy stale do czynienia z pewną płynnością kadr, ale kierunki tego ruchu są dość typowe. Jednym z nich jest właśnie większa tzw. dyspozycyjność nauczycieli klas niższych i często ich przechodzenie na wyższe szczeble nauczania, co po pewnym czasie utrwała się w zespole nauczycielskim i powoduje dalszy wzrost zapotrzebowania na tych właśnie specjalistów. Może to powodować i takie paradoksalne sytuacje, że wszyscy będą specjalistami nauczania początkowego, a jednocześnie tymi właśnie nauczycielami będzie nadal brakować.

W planowaniu kadr oświatowych trzeba widzieć strukturę kwalifikacji całych zespołów nauczycielskich oraz typów i rodzajów szkół w skali krajowej. Chodzi o to, by struktura ta była możliwie przybliżona do zakresu i różnorodności zadań, jakie się w szkolnictwie wykonuje.

AKT DOBREJ WOLI NIE WYSTARCZY

Sięgnięmy do dokumentu przyjętego również kolegiennie przez oba ministerstwa 10 lat temu, 12 lutego 1973 r. Miał on walory rewolucyjności i zapowiadał przewyższanie wszystkich dotychczasowych osiągnięć w kształceniu nauczycieli. Co było niewątpliwym walorem, a co wadą?

Osiągnięciem było jednoczesne podniesienie do rangi uczelni akademickich wszystkich ówczesnych tryletnich WSN. Był to skok jedyny w swoim rodzaju, który nas doprowadził do czołówki światowej w rozstrzygnięciu poziomu kształcenia nauczycieli, a masowe dokształcanie pracujących miało w szybkim tempie wyrównać nasze opóźnienia w tym zakresie. I to właściwie jest sukcesem tamtej reformy. Inne założenia były albo błędne, albo nie zostały wykonane.

Błędem było skracanie studiów uniwersyteckich do 4 lat i podział tych studiów na kierunki nauczycielskie i nienauczycielskie, z zachowaniem pięcioletniego cyklu studiów dla tych ostatnich. Błędem było i nadal jest jednakowe kształcenie nauczycieli tzw. przedmiotowych dla szkół podstawowych i szkół średnich, a więc wprowadzenie jednolitej koncepcji programowej dla studiów uniwersyteckich i studiów w uczelniach akademickich o profilu zawodowym.

Błędem była tzw. jednokierunkowość kształcenia wszystkich nauczycieli, w tym nauczycieli szkół podstawowych, oraz narzucenie jednakowego czasu studiów na wszystkich kierunkach (4 lata).

Wszystkie te błędy mają jedną wspólną przyczynę, a mianowicie dążenie do uniformizmu i dyktandości. Cechy te, być może, mają wielkie znaczenie w różnych sferach działalności ludzkiej, ale są one najmniej pożądane w nauce, szkolnictwie wyższym i oświacie. Wymownym tego przykładem była w ostatnich latach walka o autonomię szkolnictwa wyższego i o uwolnienie go od dyktandościowego zarządzania, uwięziona nowa „Ustawa o szkolnictwie wyższym”. Środowiska akademickie, nie przywykłe do tej autonomii i do społecznej odpowiedzialności za „produkt” swojej pracy, uczynili z niej użytek najmniej korzystny dla kształcenia nauczycieli, a w wielu przypadkach zlekceważyli nawet zupełnie swoje podstawowe zadanie społeczne, jakim jest dobre kształcenie nauczycieli szkół podstawowych. Była to reakcja (przedłużenie studiów do 5 lat, utrzymanie ich jednokierunkowości i redukcja programu przygotowania pedagogicznego) charakterystyczna dla takim samym brakiem wyobraźni, jak poprzednie dyktandościowe zarządzanie. W tych różnych wzajemnych „reakcjach pionowych” i „poziomych” zgnębiona została istota rzeczy, a mianowicie: dobre kształcenie nauczycieli.

NIE PENSUM, LECZ...

Dzisiejsze luki kadrowe nie mogą być tłumaczone obniżeniem obowiązującego pensum dydaktycznego nauczycieli. Zmniejszenie pensum nie prowadzi wprost linii do wzrostu zapotrzebowania na nowych nauczycieli. Wzrost ten jest uwarunkowany wieloma czynnikami. Oto np. w 1973 roku pensum nauczyciela szkoły podstawowej wynosiło 26 godzin lekcyjnych tygodniowo, a faktyczne obciążenie dydaktyczne — 31,5 godziny. Obecnie pensum jest znacznie niższe, ale faktyczne rozmiary pracy są zbliżone. Różnica polega na tym, że większa liczba godzin lekcyjnych jest dziś zaliczana do godzin ponadwymiarowych i wyżej płatna.

Zapotrzebowanie na nowych nauczycieli powstaje dopiero wówczas, gdy występują tzw. ubytki kadrowe i gdy nie ma już kto zastępować nieobecnych, lub gdy powstają nowe szkoły i nowe oddziały w istniejących szkołach. Dla takich szkół i oddziałów trzeba od początku kompletować kadrę. W innym przypadku nawet wyż demograficzny może nie wytwarzać nowego zapotrzebowania na nauczycieli — jeśli istniejące oddziały szkolne mogą wchłoniąć większą liczbę dzieci. Obecny jednak wzrost demograficzny wiąże się z rzeczywistym wzrostem liczby szkół i oddziałów, na razie jeszcze głównie na poziomie nauczania początkowego. Powoduje to wzrost zapotrzebowania na nowych nauczycieli.

Ale w tym kontekście trzeba poczynić pewną dodatkową uwagę. Bo oto nowe zapotrzebowanie dotyczy obecnie głównie nauczycieli klas niższych, a specjaliści z tego zakresu mają pewną cechę szczególną, która ich wyróżnia spośród innych grup nauczycieli. Jest to chęć zmiany po pewnym czasie rodzaju pracy i przejścia do nauczania w klasach wyższych. Odwrotny kierunek tego ruchu występuje znacznie rzadziej i raczej w sytuacjach przymusowych. Oto na przykład w 1975 r. szkolnictwo zatrudniało wystarczającą liczbę specjalistów nauczania początkowego, ale jednocześnie nowe zapotrzebowanie na nich było wyjątkowo duże. Okazało się bowiem, że tylko trzecia część z nich pracuje w klasach niższych i to w niepełnym wymiarze zajęć, a znakomita większość zajęta jest inną pracą. W tym czasie nauczanie początkowe by-

JAK WYJŚĆ Z IMPASU?

Co trzeba obecnie zrobić, by znaleźć wyjście z impasu powstałego w oświacie? Sądzę, że system kształcenia nauczycieli nie trzeba burzyć! Ale dokładnie go zmodyfikować.

Potrzebne jest, oczywiście, zgodne współdziałanie obu resortów i rzetelne wykonywanie podejmowanych zobowiązań. Ale trzeba mieć świadomość, że resort oświaty ma niewiele do powiedzenia w tych sprawach, zarówno w sensie koncepcyjnym, jak i materialnym. Bardziej owocna współpraca może występować raczej na szczeblach regionalnych niż centralnych, gdy chodzi o rozwiązywanie konkretnych spraw, takich jak rekrutacja młodych i jej przyszłe zatrudnienie, baza lokalowa, szkoły ćwiczeń. Tego rodzaju współpraca ma w wielu okolicznościach dobrą tradycję i do brze służy kształceniu nauczycieli.

Całość tych zadań znajduje się od pewnego czasu w gestii szkolnictwa wyższego i tutaj powinna pozostać. Sądzę, że nawet obecne SN, jeśli mają stanowić etap kształcenia wyższego, nie powinny znajdować się wyłącznie w gestii oświaty, lecz być również objęte opieką przez szkoły wyższe. Ale oto uczelnie znalazły się w ostatnim czasie w sytuacji z gruntu nowej. Uzyskały autonomię w zakresie decydowania o programie, czasie, kierunkach i formach studiów. Pierwsze kroki w ramach tej autonomii to tylko żywiołowe przedłużanie czasu studiów, nawet na tych kierunkach, na których nie jest to potrzebne oraz ucieczka od zawodowej funk-

cji uczelni, które w istocie swej są zawodowe.

Środowiska akademickie, przywykłe do dawnej dyktando-nakazowej rutyny i tym samym zwolnione od odpowiedzialności za koncepcje studiów, nie potrafiły wykorzystać bogactwa swoich potencjalnych możliwości w zakresie dobrego rozwiązywania różnych zadań związanych z kształceniem nauczycieli. Ustanowiły nową rutynę, jeszcze bardziej odległą od zadań, formułowanych poprzednio.

W tej sytuacji potrzebny jest racjonalny kompromis pomiędzy ową uczelnianą autonomią a respektowaniem określonych nakazów odrębnych, dotyczących kształcenia nauczycieli. Powinno mu towarzyszyć zrozumienie, że szkoły wyższe stanowią dobro ogólnonarodowe i że obok zadań „kształcenia dla rozwoju” mają też do wykonania sporo konkretnych zadań o charakterze zawodowym. Dopiero ten sposób myślenia umożliwi uczelniom tworzenie elastyczniejszych organizacji studiów i dostosowanie ich do aktualnych i najbliższych potrzeb kadrowych szkół.

Studia przecież nie muszą być wyłącznie pięcioletnie na wszystkich kierunkach, tak jak dawniej musiały być wyłącznie czteroletnie, mogą być krótsze i dłuższe, mogą być przemienne itp. Zależy to od zadań, jakie mają one obowiązek spełniać wobec społeczeństwa. Trzeba przy tym mieć na uwadze, że nawet krótki pobyt studenta w dobrym środowisku uczelnianym może więcej znaczyć niż wieloletnie kształcenie poza takim środowiskiem.

Uczelnie same powinny wiedzieć, jak mogą właściwie rozwiązać narastające trudności kadrowe szkolnictwa i zgłosić odpowiednią ilość propozycji. Koncepcje programowe muszą jednak uwzględniać pewne wymogi, to znaczy obejmować przynajmniej podstawowe zakresy kwalifikacji nauczycielskich. Należy do nich postawa obywatelska nauczyciela — współuczestnictwo, patriotyzm, znajomość dzieł narodu i szacunek dla nich, znajomość kraju w dzisiejszym jego kształcie i głęboka identyfikacja z nim. W zawodzie nauczycielskim postawa obywatelska jest najważniejsza. Nauczyciel przekazuje jej dzieciom również w sposób samorządny, niezamierzony, i właśnie to, kim on jest, stanowi wartość społeczną i treść przekazu dorastającemu pokoleniu.

Drugim takim składnikiem jest kultura zawodowa nauczyciela — stosunek do dziecka, motywacja pracy wymagającej niekiedy rzeczywiste wyrzeczenia i poświęcenia; kultura współzycia i wysoka kultura pedagogiczna. stały rozwój i doskonalenie kwalifikacji.

Trzecią podstawową wartością kwalifikacji nauczycielskich jest ich kultura naukowa — znajomość przedmiotu nauczania jako dziedziny nauki i znajomość metod nauczania.

Środowiska akademickie wiedzą, co oznaczają te zakresy kwalifikacji nauczycielskich i są w stanie szczegółowo określić warunki i etapy ich realizacji w uczelni. Wzrost w tym, by zechcieli podjąć te zadania, gdyż teraz już nie mogą liczyć na otrzymywanie szczegółowych programów i instrukcji w trybie nakazowym. Autonomia uczelni oznacza przede wszystkim wzrost jej zadań i odpowiedzialności.

Uczelnie nie otrzymują też nakazu skrócenia studiów lub rozbicia ich na etapy, dostosowania programów do potrzeb społecznych itp. Muszą same o tym decydować. Jeśli zaś okaże się to niemożliwe, to być może nie pozostanie nic innego, jak powrót do dawnego zarządzania szkolnictwem wyższym, który przebieg był tak ostro krytykowany i dość niewydolny.

W naszej historii okresu powojennego stosunkowo najkorzystniej rozwiązywano te dylematy w tym. krótkim zreszta, czasie, gdy mieliśmy jeden resort oświaty i szkolnictwa wyższego. Przede wszystkim w warunkach podzielonego resortu WSP podlegały oświacie. Miały one dość dobry program pedagogiczny i zorientowane były na zawód nauczycielski, ale też miały liczne inne, znaczące bariery rozwojowe, tkwiące głównie w kadrcie naukowej. Stało się toż sam spór o rolę uniwersytetów i WSP w kształceniu nauczycieli, a w praktyce WSP ambicie orientowały się na uniwersytecki kierunek rozwoju i rzeczywistym w kilku przypadkach były i nadal są podstawą twórczości uniwersytetów (Gdańsk, Katowice).

Ten spór pomiędzy koncepcjami programowymi i rodzajami uczelni ustatkował się w formie programów studiów w wyniku reformy z 1973 r. i nobilitacji wszystkich WSP do rangi uczelni akademickich. Przeniesienie się na jednak w innej postaci na konflikt pomiędzy resortami, z których jeden kształcił nauczycieli, a drugi zatrudniał ich i weryfikował koncepcje kształcenia w praktyce szkolnej. Weryfikacja ta w szkole podstawowej wypadła, niestety, niekorzystnie.

Obecnie do dwóch centralnych ośrodków decyzyjnych doszło trzecie ogniw decyzyjny — uczelnie. Z tych trzech ośrodków decyzyjnych co najmniej jeden, a może i dwa są zbędne. Jak się ich pozbyć. Może przez połączenie resortów, tak jak to było za czasów ministra Jablońskiego? A dalej — przez właściwe ułożenie stosunków między centralnym ośrodkiem decyzyjnym i uczelniami oraz poprawę współpracy uczelni z terenowymi władzami oświatowymi.

doc. dr TADEUSZ MALNOWSKI

1) B. Suchecki (red.) — Nauki filozoficzne współdziałające z pedagogiką, Warszawa, 1966, s. 5.
2) Kazimierz Piłat, Sprawozdanie Krajowej Komisji Zakładowej ZNP, „Głos Nauczycielski” z 22 X 1983 r.

PYTAJ - ODPOWIEMIY

POWTARZANIE ROKU A PRAWO DO URLOPU SZKOLENIOWEGO

W bieżącym roku szkolnym powtarzam trzeci rok studiów zaocznych. Czy mam prawo do urlopu szkoleniowego? Jeśli tak, to kiedy mogę z niego korzystać? Czy dyrektor ma prawo nie udzielić urlopu i w jakich sytuacjach? (Barbara M. — woj. gdańskie)

Nauczyciele odbywający studia wieczorowe lub zaoczne w szkołach wyższych bądź w zaocznych i wieczorowych studiach nauczycielskich, albo studiach wychowania przedszkolnego, którzy nie zaliczył roku studiów, tracą prawo do ulgi i świadczeń przewidzianych w uchwale nr 179 Rady Ministrów z 16 sierpnia 1982 r. — w sprawie zasad udzielania nauczycielom urlopów na kształcenie się itd. Prawo to tracią tylko w roku powtarzania studiów.

Jeśli nauczyciel powtarza rok z powodu choroby lub innych przypadków losowych, wówczas organ nadzorujący szkołę może (fakultatywnie) przyznać nauczycielowi ulgi i świadczenia przewidziane w uchwale.

W przypadku powtarzania studiów z „winy” nauczyciela ma on prawo tylko do bezpłatnych zwolnień od pracy na czas obowiązkowych zajęć i egzaminów.

URLOP ZDROWOTNY. A ODEJŚCIE NA EMERYTURĘ

Obecnie jestem na urlopie dla poratowania zdrowia do 15 lutego 1984 roku. Mam 49 lat i pracuję już ponad 30 lat. W związku z wcześniejszą emeryturą od 1 stycznia 1984 r. dyrektor szkoły stawia mi warunki: albo mam przejść na emeryturę, albo powrócić w styczniu do pracy. Czy dyrektor może skrócić urlop zdrowotny i jaki to ma związek z emeryturą (H.S. — woj. katowicki).

Akurat w Pani przypadku nie zachodzą okoliczności, które uniemożliwiłyby wykorzystanie urlopu w przewidzianym terminie. Stanowisko dyrektora jest sprzeczne z przepisami.

Płatnego urlopu dla poratowania zdrowia udziela nauczycielowi organ bezpośrednio nadzorujący szkołę na okres do jednego roku (zgodnie z zaleceniami służby zdrowia na jaki okres). Jest to o tyle ważne, że tylko lekarz wie, jak długi okres trwania urlopu jest niezbędny dla poratowania zdrowia. Mówi o tym zarządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej z 30 października 1982 r. — w sprawie orzekania o potrzebie powstrzymywania się od pracy dla poratowania zdrowia nauczycieli. A zatem obowiązuje to organ udzielający urlopu do dotrzymania tego terminu.

Przejście na wcześniejszą emeryturę nie jest obligatoryjne, jest prawem, z którego nauczyciel może skorzystać lub nie. Pani więc nie musi przejść na emeryturę, a więc nie zachodzi okoliczność przewidziana w art. 73 Karty, który mówi, że: „...płatny urlop dla poratowania zdrowia nie może być udzielony na okres dłuższy niż do końca miesiąca kalendarzowego poprzedzającego miesiąc, w którym nauczyciel przechodzi na emeryturę”.

DODATEK SPECJALISTYCZNY DLA NAUCZYCIELI WF

Słyszałem, iż nauczyciele wf otrzymują, dodatek specjalistyczny. Jestem magistrzem, prowadzę dodatkowe zajęcia. A dyrektor twierdzi, że dodatek mi nie przysługuje, „bo tak powiedziano w kadrcach”. Proszę o

PRACOWNICY POSZUKIWANI

Inspektor Oświaty i Wychowania w Żychlinie przyjmie do pracy małżeństwo nauczycielskie o specjalnościach: nauczanie początkowe i matematyka lub historia-geografia. Zapewniamy mieszkanie 2-pokojowe z kuchnią i łazienką w budynku szkolnym (o powierzchni 60 m kw.). Ostateczny adres przedpł. pod adresem: Złota Szkoła Główna w Wilkowie Osiedlu, woj. legnickie (kod 59-515).

Główny Dyrektor Szkół w Nowicy, 14-05 Wilczyński zatrudni jeszcze w tym roku szkolnym nauczyciela lub nauczycielkę języka polskiego z wykształceniem wyższym. Wzrostane jest, zapewniamy mieszkanie i również nauczycielom. Zapewniamy mieszkanie — 3 pokoje z kuchnią i łazienką.

Główny Dyrektor Szkół w Łęcznej k. Lublina zatrudni od zaraz małżeństwo nauczycielskie w Szkole Podstawowej w Żółtowie (gmina Łęczna) z powierzaniem funkcji kierowniczej. Zapewniamy 2-pokojowe mieszkanie w domu Nauczyciela (łazienka, woda), a także działkę.

Główny Dyrektor Szkół w Łęcznej k. Lublina zatrudni od zaraz małżeństwo nauczycielskie w Szkole Podstawowej w Żółtowie (gmina Łęczna) z powierzaniem funkcji kierowniczej. Zapewniamy 2-pokojowe mieszkanie w domu Nauczyciela (łazienka, woda), a także działkę.

Małżeństwo mgr inż. mechanika z kwalifikacjami pedagogicznymi i rusycystyki poszukuje pracy z mieszkaniem. Oferty: Janusz Zieliński, ul. Nowa 11 m 8, 44-100 Gliwice.

informację, jak jest naprawdę. Dodam, że pracuję już 15 lat. (Henryk S. — woj. łódzki).

Dodatek specjalistyczny przysługuje tylko tym nauczycielom wychowania fizycznego, którzy są zatrudnieni w szkołach o profilu sportowym lub prowadzą klasy sportowe — mają wyższe wykształcenie magisterskie i kwalifikacje trenerskie. Jest to warunek sine qua non uzyskania tego dodatku. Kolega, niestety, nie uściślił w liście, czy spełnia te warunki. Dodajmy, że dodatek specjalistyczny wynosi miesięcznie — 400 zł dla nauczycieli mających kwalifikacje trenerskie II klasy, 700 zł, w przypadku kwalifikacji I klasy i 1000 zł dla trenerów klasy mistrzowskiej.

Przy okazji warto zwrócić uwagę, że dodatek wypłaca się, jeżeli nauczyciel prowadził zajęcia dydaktyczne w klasach o profilu sportowym w pełnym wymiarze godzin. Natomiast jeżeli prowadził zajęcia w wymiarze niższym — wypłaca się dodatek w części proporcjonalnej.

Kwestię tę reguluje par. 11 uchwały nr 97 Rady Ministrów z 8 sierpnia 1983 r. — w sprawie wynagradzania nauczycieli. (M. P. nr 28 z 1983 r.).

PRAWO DO DODATKU MIESZKANIOWEGO W OKRESIE SŁUŻBY WOJSKOWEJ

Jestem powołany na rok do odbywania służby wojskowej. Pracowałem rok w szkole i dostawałem dodatek mieszkaniowy (1000 zł). Odebrano mi ten dodatek od drugiego miesiąca mojego pobytu w wojsku. Czy słusznie?

W liście nie podaje Pan istotnej informacji, a mianowicie, na jaki okres był Pan zatrudniony, lub inaczej, czy umowa była zawarta na czas określony.

Nauczycielom przysługuje dodatek mieszkaniowy również w okresie odbywania zasadniczej służby wojskowej, albo pełnienia okresowej służby wojskowej lub odbywania przeszkolenia wojskowego albo ćwiczeń wojskowych.

Jednak w przypadku, gdy z nauczycielem powołanym do służby wojskowej zawarta była umowa o pracę na czas określony, dodatek mieszkaniowy wypłaca się nie dłużej niż do końca okresu, na który umowa ta została zawarta.

Podstawa prawna: par. 4 zarządzenia ministra oświaty i wychowania z 30 czerwca 1982 r. — w sprawie dodatku mieszkaniowego dla nauczycieli (kon)

Dnia 19 listopada 1983 r. zmarła w wieku 51 lat nasza Drogą Koleżanka mgr MARIA DAMIAN
wzrosła wychowawczyni, doskonała nauczycielka języka francuskiego, laureatka nagrody Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej za wybitne osiągnięcia w nauczaniu języka francuskiego i upowszechnianiu kultury francuskiej.

OGNISKO ZNP PRZY I LO IM. J. SŁOWACKIEGO W CHORZOWIE K-5

Mgr historii, 16-letni stał nauczycielski, poszukuje pracy od 1 stycznia 1984 roku, na terenie województw: krakowskiego, kieleckiego, katowickiego, bielskiego, nowosądeckiego. Warunek: samodzielnie, komfortowe mieszkanie rodzinne. Oferty: Anna Moździał, ul. Zagórska 64 m. 66, 26-344 Kielec.

Małżeństwo: mgr matematyki i mgr inż. fizyki metalu poszukuje pracy w szkole — najchętniej na wsi. Warunek: samodzielne mieszkanie z wygodami. Barbara Kopka, Wroczyca Mała nr 61, 42-130 Wrocław, woj. wrocławski.

OGŁOSZENIA DROBNE

Małżeństwo: mgr matematyki i mgr inż. fizyki metalu poszukuje pracy w szkole — najchętniej na wsi. Warunek: samodzielne mieszkanie z wygodami. Barbara Kopka, Wroczyca Mała nr 61, 42-130 Wrocław, woj. wrocławski.

Standardy szkolne i harcerskie wykonuje wyspecjalizowana pracownia „Haft Artystyczny” — mistrzowie Zofia i Henryk Kleczkowie, 81-892 Pordnów, ul. Kościuszki 76 (na rożku ul. Armii Czerwonej 77), tel. 595-14.

Nagrodzone medalem gwarantuje najwyższą jakość wykonania oraz dotrzymania terminów. Szeroka rozpiętość cen.

JÓZEF JAROSZEWICZ

Przed niewielu dniami odszedł od nas długoletni nauczyciel, działacz ZNP, JÓZEF JAROSZEWICZ. Pracę zawodową rozpoczął w roku 1935, tuż po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Świdnicy — pełniać swoją powinność w szkołach powszechnych w Wokosławsku.

Kampania wrześniowa 1939 roku tylko na krótko, tj. do 10 października, przerwała jego pracę. Podjął ją niezwłocznie w Szkole Powszechnej w Porozowie, a następnie w Łaskach byłego powiatu wrocławskiego. Na tym stanowisku (trwał do 1942 roku. W latach 1942-44 pracował w gospodarstwie rolnym swojego brata, prowadząc jednocześnie tajne nauczanie. Po wyzwoleniu tych terenów spod okupacji hitlerowskiej, tj. od 1 września 1944 roku, aż do roku 1947, tj. do chwili przyjazdu do Polski, pracował jako nauczyciel Szkoły Powszechnej w Chrusławcu.

W latach 1947-1957 pełnił obowiązki nauczyciela i kierownika Szkoły Podstawowej w Rybnem powiatu sochaczewskiego. W 1953 roku objął stanowisko kierownika Szkoły Podstawowej nr 1 w Sochaczewie, a już 1 grudnia 1954 roku został powołany do pełnienia obowiązków podinspektora szkolnego, następnie zaś w 1958 roku kierownika referatu szkół podstawowych Wydziału Oświaty w Sochaczewie, i listopada 1959 roku został inspektorem szkolnym.

Wybudował na terenie byłego powiatu sochaczewskiego 14 szkół, 6 domów dla nauczycieli, zorganizował szkoły specjalne, podjął dzieło unowocześnienia wyposażenia szkół i innych placówek oświatowo-wychowawczych.

W 1959 roku przeszedł do pracy w Związku Nauczycielstwa Polskiego jako sekretarz Oddziału Powiatowego. Ciepła choroba spowodowała odejście z czynnej pracy zawodowej w listopadzie 1963 roku. W uznaniu zasług odznaczony był m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotą Odznaką ZNP. Odszedł człowiek, o którym pamięć pozostanie wśród nas.

ZARZĄD ODZIAŁU ZNP W SOCHACZEWIE ORAZ WYDZIAŁ OŚWIATY I WYCHOWANIA

LAUREACI KONKURSU

„MOJE SPOTKANIA Z NASZYM WOJSKIEM”

Rozstrzygnięty został konkurs zorganizowany z okazji 40-lecia ludowego Wojska Polskiego przez Zakład Usług Społecznych Resortu Oświaty i Wychowania oraz naszą redakcję. Komisja konkursowa w składzie: Jan Molda, Wiesław Wawrzyniak, Henryk Witalewski, Helena Witkowska — po dokonaniu wnikliwej oceny prac nadesłanych przez 22 autorów, postanowiła nie przyznać pierwszej i drugiej nagrody. Przyznała natomiast: III nagrodę w wysokości 8000 zł Józefowi Hładyszowi z Rodnowa, woj. olsztyńskiego (godło „Klon”) oraz dwie równorzędne IV nagrody po 6000 zł: Krystynie Sylwestrak z Gdańska (godło „3453”) i Leonowi szarkowi z Lubawy (godło „Celownik”).

Cztery równorzędne wyróżnienia po 2000 zł otrzymali: Maria Ogiński z Warszawy (godło „Marta”), Edward Osiuch z Torunia (godło „Jędr”), Stanisław Bandziak ze Świdnicy (godło „Dolnośląsk”), Jan Mielczarek z Głogowa (godło „Krynka”).

Laureatom serdecznie gratulujemy. Nagrody i wyróżnienia prześlaliśmy pocztą.

Jednocześnie informujemy, iż w jednym z najbliższych numerów „Głosu” opublikujemy fragmenty najlepszych (nagrodzonych) prac.

TYGODNIK ODZNACZONY



ZŁOTA ODZNAKA ZNP



MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ



KRZYŻEM ZA ZASŁUGI DLA ZNP

Adres redakcji: ul. Spasowickiego 69 50-388 Warszawa. Telefon: 16-10-11, 26-24-20, 27-66-30. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca zastrzegamy też sobie prawo do ich skracania i korektury. Koszt granatowy krajowej na 1984 r.: kwartalnie — 10 zł; półrocznie — 195 zł; rocznie — 364 zł. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” ul. Nowogrodzka 24/88 02-017 Warszawa. Nakład 70 000 egz. M-105

KTO BIJE DZIECI?

Kiedyś na początku swojej kariery zawodowej wydawało mi się, że być dobrym nauczycielem czy ojcem to sprawa bardzo prosta. No bo dziecko w swojej naiwnej prostocie poddaje się chętnie naszym zabiegom wychowawczym. A błędy i niepowodzenia starszych też zwykle bierze na siebie. Kiedy tata w zapamiętaniu grzmotł go po tyłku, on wierzył, że jest zbrodniarzem i że rodzona ojca wpędzi do grobu. A pani wychowawczyni, która systematycznie wpisuje do dzienniczka po jedenaście uwag każdego miesiąca, jest wprawdzie trochę mniej dobra, ale przecież i jej się należy symboliczny kwiatek i cała oddana bez reszty miłość malucha.

Dziś wiem, że maluch jest po prostu dzieckiem i że wcale mu nie tak łatwo od razu stać się dorosłym. I że w tym stawianiu się często mu skutecznie przeszkadzamy. Jako nauczyciele, jako wychowawcy.

Jeżeli w szkole w czasie przerwy pani wychowawczyni łapie malucha i wpisuje mu do dzienniczka „biegał po korytarzu” — to taka pani popelnia zbrodnię. Znam przypadek, gdy wychowawczyni z maniacznym uporem wpisywała po kilka razy w tygodniu „nie reaguje na polecenia i w dal-

szym ciągu biega”. Mały „przestępca” miał 8 lat. Zaczął w domu dostawać lanie. Najpierw tak nerwowo, gdzie popadnie, później pałkami od spodni, aż wreszcie któregoś dnia zdenerwowany tata zwiłkł go po schodach i zamknął w ciemnej piwnicy.

Nietrudno zauważyć, że w omawianym przypadku w ogóle brak jest logicznego uzasadnienia do wpisania uwagi. Ponadto sama uwaga wpisana została błędnie. Uczeń biegał w czasie przerwy, a treść mogła sugerować, że uciekał z lekcji i biegał po korytarzach.

I cała sprawa stała się bardzo poważna. Jej wymierność w realiach moralnych i obyczajowych skłania do refleksji na temat odpowiedzialności i sankcji prawnych. Takie sankcje nakładają sądy na wyrodných rodziców, maltretujących własne dzieci.

Wyobraźmy sobie jednak, że jakiś przewrotny rodzic uprzytomni sobie nagle cały mechanizm przyczynowy doświadczonych przez siebie skutków. I działając w dobrej wierze, postawi w stan oskarżenia wychowawcę szkolnego. Takiej możliwości nigdy nie można wykluczyć.

Mat przed sobą dyktando z języka polskiego. Jest w zasadzie jeden błąd ortogra-

ficzny, co po sprawdzeniu daje... sześć błędów i ocenę: niedostateczny. Jak to możliwe? Ano, doszły dwa przecinki, brak kropki nad „i”, opuszczona litera, i niepotrzebnie połączone wyrazy. Zupełnie inaczej została oceniona praca domowa innego ucznia. Najpierw są uwagi: „błędy stylistyczne, pismo niestaranne” i końcowa ocena: dobry.

Ale najwięcej kontrowersji budzą dzienniczki szkolne. Młoda nauczycielka powtórza aż 9 razy tę samą uwagę: „uczeń nie wykonuje poleceń nauczyciela”. Dla tego ucznia ona już dawno przestała być nauczycielem. Jest jak zdegradowany generał, którego rozkazy ignorują żołnierze. A nawet więcej, taka pani to dla malucha związała... skrzytyta. Dzienniczki uczniów kryją jeszcze wiele innych ciekawych tajemnic...

Potrzeba wielu lat, aby poznać cały skomplikowany system funkcjonowania szkoły. Podstawą tego systemu są dwa główne mechanizmy: dydaktyka i wychowanie. Pozornie się wydaje, że nie są one ze sobą sprzężone. Wyłączenie jednego mechanizmu w zasadzie nie zatrzymuje drugiego. Ale w tym właśnie tkwią główne przyczyny zła. Sprawy dydaktyczne były zawsze na pierwszym miejscu, w dziedzinie wychowania pozostaliśmy w tyle. Wydawało się, że wystarczy pobieżna znajomość psychologii rozwojowej, trochę intuicji, nieco zdrowego rozsądku i problem przestaje istnieć.

Na dobrą sprawę każda wpisana uwaga do dzienniczka jest błędem wychowawczym. Występuje tu bowiem brak bezpo-

średniego sprzężenia pomiędzy przyczyną a skutkiem. Mówiąc inaczej, w szkole jest draka, a w domu będzie lanie. Będzie, ale dopiero wieczorem. Do tego czasu można wywrac kartkę, zgubić dzienniczek, okłamać rodziców... Zamiast właściwej postawy etycznej: ukradkę — więc poniosę konsekwencje, utrwalamy błędną i amoralną postawę: ukradnę i nikt mnie na tym nie nakryje. Znam nauczycieli, którzy w ogóle nie wpisują uwag i nie mają kłopotów wychowawczych z dziećmi.

Jak dotąd w tej sprawie nie ma jednoznaczności. Są nawet opinie skrajnie przeciwnostawne. Jedni sądzą, że w określonych sytuacjach wychowawczych nauczyciel może liczyć tylko na własne siły. Inni uważają, że odpowiedzialność za wychowanie ponoszą przede wszystkim rodzice, że współpraca z domem polegać ma na ciągłym monitorowaniu i inspirowaniu ich większej aktywności w wychowywaniu własnych dzieci. Jeszcze inni stawiają głównie na szkołę, bo jest to instytucja o szczególnych kompetencjach i uprawnieniach. Dysponuje wiedzą teoretyczną i odpowiednią kadrą specjalistów. Tu nie powinno być kardynalnych pomyłek, błędów. A jednak...

I właśnie w tej kwestii wyraźnie zajmujemy różne stanowiska. Tylko w ocenie samego zła jesteśmy zgodni. Mamy też świadomość całej jego złożoności. Winni są nauczyciele, rodzice, telewizja, złe książki, gazety — wszystko. Tylko jeżeli oskarżamy wszystkich na raz, to nikt nie będzie winien. Nikt? A kto bije dzieci?

przed META

MIECZYSLAW BILSKI

ROŚLI I SMUKLI, ALE...

Około 40 proc. młodzieży uczącej się w różnych typach szkół, nade wszystko podstawowych wymaga z najróżnorodniejszych przyczyn — indywidualnego traktowania kompensacyjno-korekcyjnego. Ta sprawa spędza sen z powiek ludziom wrażliwym, którzy odczuwają potrzebę niesienia pomocy tej ogromnej liczbie uczniów. W pierwszym szeregu stoją tutaj, oczywiście, nauczyciele. Myślę o absolwentach wyższych uczelni wychowania fizycznego, bo tylko oni są zorientowani w sprawie i mogą coś pomóc.

Nie wzięło to się z przypadku. Przed wieloma laty problemem zainteresowała się dr hab. Maria Kucner-Koziorowska, której energia i społeczne podejście do pracy zawodowej znane są wśród pedagogów. Zorganizowała ona w stołecznej Akademii Wychowania Fizycznego Zakład Korektywny, co dało początek nauczaniu tego przedmiotu w uczelni. Wykłady z tej dziedziny prowadzone są od lat na trzecim i czwartym roku studiów. I nie samą teorią karmieni są studenci.

Zakład, kierowany obecnie przez doc. Macieja Popiela, ma własną aparaturę badawczą, ma wykładowców. Nade wszyst-

ko jednak liczy się to, że prowadzone są tam zajęcia z zakresu korektywy z młodzieżą szkolną, którą skierowali tutaj rodzice po zaobserwowaniu u swych dzieci różnych wad postaw. Takie podejście do sprawy ma dwa walory. Po pierwsze: korzystają dzieci leczone przez rok lub więcej pod nadzorem specjalistów. Po drugie: studenci, obserwując zajęcia i biorąc w nich czynny udział, mają doskonałą praktykę.

Codzienny kontakt z rodzicami stanowi tam zasadę. Bez tego nie można prowadzić zajęć, trudno byłoby myśleć o efektach wyrównawczych.

Jak wykazały badania, wady postaw (okrągłe plecy, plecy wklęsłe, płaskostopie, skrzywienie boczne kręgosłupa), biorą się z dwóch przyczyn: tendencji młodych ludzi do smuklenia (młodzież szybko rośnie i szczupleje), wobec czego powstaje zjawisko braku stabilizacji mięśniowo-więzadłowej oraz reżymu życia, cechującego się ubóstwem ruchu fizycznego (spędzanie czasu w pozycji siedzącej).

Otóż to. Korektywa przeto rekompensuje te niedostatki i zapobiega utrwalaniu

się różnych wad w sylwetkach i postawach młodzieży.

Zakład, o którym tutaj mówimy, współpracuje z placówkami służby zdrowia w zakresie np. ortopedii. Nauczyciele otrzymali podręcznik na temat stosowania korektywy w zajęciach sportowych i w czasie lekcji w w szkołach. Studenci prowadzą regularnie obserwacje, a w końcowej fazie nauki piszą prace magisterskie z korektywy. Wiele z nich zawiera wcale bogaty materiał dla praktyki.

Rodzice, oczywiście, usilnie zabiegają, aby ich dzieci mogły ćwiczyć pod kierunkiem fachowców. Natomiast sama młodzież wcale z tymi zajęciami nie przeпада. Nie mają one bowiem nic wspólnego z treningiem sportowym, z grami, w których dominuje dawka przeżyć z ogromnym ładunkiem emocji. To jest ciężka harówka, chociaż prowadzący zajęcia nauczyciele starają się w miarę czynić je atrakcyjnymi. Dużym za to powodzeniem wśród młodzieży objętej korektywą cieszą się zajęcia wakacyjne na obozach wyjazdowych.

Kompensacja i korektywa wciąga coraz więcej nauczycieli — absolwentów warszawskiej AWF. Wynoszą oni ze studiów cenną umiejętność: wyławiania wśród swoich podopiecznych tych, którzy muszą ćwiczyć indywidualnie. Nauczyciele ci piszą do naukowych periodyków o swoich spostrzeżeniach i doświadczeniach z pracy. AWF zbiera takie informacje, opracowuje wnioski, przekazując je szerokiej rzeszy pedagogów. W kontaktach tych pomaga resort oświaty, który nie tylko interesuje się pro-

blemem, ale wspomaga swoje placówki zajmujące się korektywą i takie, jakim jest właśnie Zakład Korektywy AWF. Ścisła współpraca daje spore efekty.

Spodobala mi się formuła praktykowania w stołecznej AWF z tej prostej przyczyny, że studentów przygotowuje się do pracy w korektywie nie tylko teoretycznie. Zespoły ćwiczących uczniów z wadami postaw to dobry sposób łączenia teorii z praktyką już w czasie studiów.

Dlatego mocno żałuję, że inne uczelnie wychowania fizycznego nie podchwyciły tej idei, nie mają swoich poligonów doświadczalnych. Trochę się dziwię, że Departament Szkolnictwa i Nauki GKKPiS nie jest zainteresowany tym, by z dobrych doświadczeń stołecznej AWF czerpały również uczelnie w Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku, Katowicach, Krakowie. Śmiem twierdzić, że nauczyciel po studiach w stołecznej AWF łatwiej poradzi sobie z wadami postaw wychowanków niż jego koleżdy z innych uczelni. Ten pierwszy podejdzie do problemu z większym sercem jako specjalista, drugi raczej będzie się odeń o-pędzał jak od much.

Dzieci są szczupłe, wysokie. I to cieszy. Byłoby jednak niedobre, gdyby miało okazać się, że nie potrafimy zapobiegać związanym z tym niebezpieczeństwom. A może tak być, jeśli nie wkroczy się w porę z zajęciami korekcyjnymi.

ZDERZENIA

LECHOSŁAW GAWRECKI

W NURCIE ŻYCIA...

Stare nawyki są bardzo silne i co gorsza, przechodzą na nowe nauczycielskie pokolenia. Ta niewesoła refleksja nasunęła mi się w związku z niedawną, 65 rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości.

Prasa, radio, telewizja „żyły” tym wydarzeniem przez kilka tygodni. Czytał więc nastolatek, słuchał i oglądał dziesiątki filmów, audycji o 1918 roku. Przybliżyło mu epokę, charakteryzowano tło wydarzeń, prezentowano najważniejsze postacie historyczne, pokazywano autentyczne filmy, zdjęcia i inne materiały dokumentalne — w gazecie młodzieżowej, na ekranie, w głośniku. Bo w szkole już znacznie, znacznie rzadziej.

Gdy jedną z nauczycielek historii zapytałem, dlaczego nie porozmawiała z uczniami na temat rocznicy powstania nie-

podległej Polski, odparła po prostu, że przecież w klasach, w których uczy, program tego nie przewiduje! Inną zaś, polonistką, samo pytanie wprawiło w zdumienie; wszak ona uczy języka ojczystego, a nie historii!

A przecież aż się prosi, aby zlecić uczniom zebranie odpowiednich materiałów prasowych, poszukiwanie w nich odpowiedzi na zadane przez nauczyciela pytania. Rocznicą odzyskania niepodległości, to wspaniała okazja do dyskusji na temat okoliczności tego pamiętnego wydarzenia. I to nie tylko na lekcjach historii, ale i polskiego, geografii. W ilu szkołach na lekcjach wychowawczych dyskutowano w listopadzie o istocie patriotyzmu i internacjonalizmu właśnie w oparciu o okoliczności powstania niepodległej Polski? Albo na in-

ne, jeszcze aktualne tematy o złożonej sytuacji politycznej w świecie? Niech na to pytanie odpowiedzą sobie sami wychowawcy, poloniści, historycy, geografowie. No i dyrektorzy szkół.

Skąd się bierze ta niechęć do wykorzystania w pracy szkoły bieżących wydarzeń i rocznic? Przyczyn tego — bardzo niedobrego — zjawiska jest kilka. Na pewno w jakimś stopniu wynika to stąd, że przez długie lata przyzwyczajano nauczycieli do ślepego realizowania programu, wbijano im do głowy, że program to rzecz święta i z niego będą rozliczani (byli i nadal są).

Nauczyciel zawsze pamiętał, że jeśli nie realizuje jakiego punktu programu, będzie miał nieprzyjemności. Jeśli zaś nie włączy do tematyki swoich lekcji bieżących wydarzeń — nikt tego nie zauważy. Więc choć już od kilku lat mówi się o potrzebie elastycznego traktowania programów, o konieczności reagowania na bieżące wydarzenia — programy wręcz to zalecają — nauczyciele wolą omijać tego rodzaju tematykę i trzymać się ściśle tego, co znajduje się w treściach programowych i w podręczniku.

Ale jest i druga strona medalu. Odwoływanie się do treści pozaprogramowych

i pozapodręcznikowych wymaga dodatkowego wysiłku, trzeba samemu przeczytać materiały, do których odsyła się uczniów, obejrzeć polecane im audycje TV czy radiowe. Trzeba wyjść poza rozkład i temat. A nie każdemu się chce, nie każdego stać na dodatkowy wysiłek. O wiele łatwiej realizować temat „lekcja organizacyjna”, lub „odklepać” kolejne zagadnienia z podręcznika — każdego roku w ten sam sposób.

Niech się w tym miejscu nie obrażają ci nauczyciele, którzy postępują inaczej, którzy uczą w sposób niebanalny, odwołują się na lekcjach do bieżących wydarzeń, których po prostu stać na ten zwiększony wysiłek. Nagrodą dla nich będzie szacunek ich uczniów, którzy po latach powiedzą, nauczyl mnie myśleć, wrażliwił na to, co się wokół mnie dzieje.

A nauczyciel, który tego swoich wychowanków nie nauczył, który nie potrafi (czy nie będzie chciał) włączyć do swoich lekcji bieżących i ważnych treści pozaprogramowych — po prostu przegra. Przegra z innymi niż on i podręcznik źródłami wiedzy — bogatszymi i atrakcyjniejszymi. I okaże się pewnego dnia, że jego uczniowie wiedzą więcej od niego, bo czytają prasę, słuchają radia, oglądają telewizję...

ZA TYDZIEŃ

„Głos” z wizytą w tomaszowskim liceum ● Jak osiągnąć sukces — o swojej drodze do nauki mówi profesor Wincenty Okoń ● Czy wolno krytykować nauczycieli? ● Wkładka literacka.